CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ŚWIAT

ROK XXV

- NR - - 31 -

WARSZAWA, DNIA 2-go SIERPNIA 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

POLSKA I LITWA W PERSPEKTYWIE DZIEJOWEJ

Jesienią roku bieżącego — w dniu 27 października — upływa 500 lat od zgonu jednej z największych postaci w dziejach Litwy i Polski: Witolda Kiejstutowicza.

Czyż trzeba wskazywać na doniosłość i wymowę tej rocznicy w życiu obu bratnich choć skłóconych narodów?

Kowno, w poczuciu dziedziczenia „prawdziwej" puścizny Witoldowej, którą utożsamia z ideą separatyzmu litewskiego, przygotowywa się już oddawna do uroczystego jej obchodu: a nie jest winą obecnych władców kowieńskich, jeśli uświęcenie rocznicy zaczynają od takiego obrzędu, na jaki ich stać: aby uczcić pamięć wielkiego księcia Litwy, postanowili, nasamprzód, złożyć „sąd" nad królem Polski.

Znamy już wyrok tego sądu, który, jak wiadomo, odbył się w Koszedarach.

Po wyliczeniu wszystkich „przestępstw" króla Władysława Jagiełły, sąd uznał tego założyciela dynastji Jagiellońskiej winnym złamania przysięgi, danej ojcu Olgierdowi; winnym wynaradawiania Litwinów, rozbicia ich jedności, przyjęcia katolicyzmu. Ponadto wytknięto mu zabójstwo stryja Kiejstuta i oddanie Litwy Koronie Polskiej... Za wszystkie te przestępstwa „sąd" skazał Jagiełłę na wykreślenie jego imienia z historji Litwy i odebranie mu tytułu W. Ks. Litewskiego... Wyrok podpisali: prezes sądu Olszacki, sędziowie Weisznis i Paciulis.

Groteska? — Tak, ale groteska ponura, skoro zważy się obszar nienawiści, który ją zrodził. Groteska tem posępniejsza, gdy uzupełnimy ją wiadomością, że następnym aktem w kowieńskim obchodzie rocznicy stało się zamówienie „życiorysu" Witolda u jednego z niemieckich profesorów historji w Pradze, słynnego ze swych agresywnych przeciw Polsce tendencyj. Pomnik wielkiego bohatera Litwy rząd kowieński z góry oddaje pod straż komendy niemieckiej. I z góry przesądza że cała uroczystość październikowa stanowić będzie fanatyczną krucjatę przeciw Polsce i przeciw tym pięciu bez mała wiekom wspólnej historji polsko-litewskiej, która od Grunwaldu sięgnęła aż poza groby powstańcze 1863 i 1864 r.

Co tej krucjacie nienawiści przeciwstawi Polska? Z czem stanie pod pomnikiem Witolda?

Moglibyśmy, niewątpliwie, stanąć z dziełami dorobku cywilizacyjnego, który niepożyte ślady polskiej pracy pokojowej pozostawił we wszystkich grodach i zaściankach nadniemeńskich. Moglibyśmy, także, stanąć z dziełami sztuki; odwołać się do ich nieśmiertelnych świadectw; wskazać choćby na potężny „Grunwald" Matejki i stwierdzić, że tradycja, z której biją tak płomieniste słupy natchnienia, nie może być ani garścią wystygłych popiołów, ani fałszem sztucznie knowanej intrygi.

Tak, zapewne, i doświadczenia przeszłości i dokumenty sztuki posiadają swój niesfałszowany język. Ale czyż świadectw ubocznych i pośrednich potrzeba tam, gdzie głosem bezpośrednim przemawia prawda?

Pytanie takie postawił sobie autor najnowszego dzieła o Litwie, dr. Ludwik Kolankowski, a postawić je sobie musiał i pracować nad niem oddawna, skoro teraz dał na nie odpowiedź w pracy tak rozległej, źródłowej i fundamentalnej.

„Dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego za Jegiellonów" — to, istotnie, nietylko poważna zdobycz w zakresie naszej wiedzy o Litwie i Polsce doby Jagiellońskiej, ale zarazem jedna z tych książek, które w nowem stawiają świetle całokształt dziejów naszego państwa: od wielkości do upadku i od upadku do odrodzenia.

Śmiało rzec można, że w wyniku badań d-ra Kolankowskiego ani jedno z węzłowych zagadnień tej przełomowej doby nie pozostało w tej postaci, w jakiej autor je zastał: naczelnym osobom dramatu nadał on nowe, odmienne proporcje, ponadto zaś wszystkie figury w nowym ustawił szyku.

Najdobitniej rewelacyjny charakter dzieła wyraża się w nowej formule wzajemnego do siebie stosunku dwu głównych bohaterów, stojących u kolebki Unji polsko-litewskiej: Jagiełły i Witolda.

Już sama charakterystyka jednej i drugiej osobistości stanowi przewrót w dotychczasowem, na tradycji Długoszowej opartem, pojmowaniu ich roli.

Gdybyśmy w jednem zdaniu chcieli wskazać odkrywczą doniosłość tego przewrotu, należałoby powiedzieć, że dr. Kolankowski po raz pierwszy, w ważkie uzbrojon dowody, pokusił się o wyzwolenie polskiej myśli historjograficznej z pod przemożnej sugestji Długosza: z półmroku kroniki, silną przyćmionej tendencją, wywiódł on dynastję Jagiellonów na białe światło dnia i — w dziennym pokazał blasku jej prawdziwe oblicze.

Jak potężnie działała ta sugestja Długosza, świadczy fakt, że aż do czasów ostatnich ulegali jej nasi historycy, dziedzicząc nietylko sądy kanonika krakowskiego, ale i jego uprzedzenia.

Czcigodny ojciec naszej historjografji nie darzył sympatją Władysława Jagiełły. Nacierpiał się on dość, jako stronnik i organ biskupa Oleśnickiego, od króla Kazimierza Jagiellończyka; nie mógł więc zdobyć się na spokojną ocenę jego ojca. Zapewne, widział w nim niejedną zaletę, cenił go za pracę apostolstwa śród pogan, ale nieodparty osad niechęci, sycony przez ambitnego biskupa a potem i kardynała, nie pozwolił Długoszowi dostrzec w Jagielle tego, co było w nim rozmachem wodza i mądrością polityka.

Sąd pierwszego dziejopisa stworzył szkołę, która stała się kanonem i która, zasypując źródła prawdy, zaciążyła nad całą koncepcją mocarstwowego rozwoju Polski.

Otwórzmy popularne dzieje Polski Wacława Sobieskiego, a ujrzymy portret Jagiełły w ciasnych ramach Długosza: „Był to człowiek szczęścia przez fortunę wysoko wyniesiony. Choć poganin, ochrzcił Litwę; choć nie wojownik, nie ruszywszy mieczem, odniósł największe zwycięstwo pod Grunwaldem; choć analfabeta, założył uniwersytet Jagielloński; choć starzec przeszło 70-letni, założył dynastję Jagiellońską..."

Sięgnijmy do niemniej popularnego podręcznika, jakim są „Dzieje Polski Średniowiecznej" Jana Dąbrowskiego, a uderzy nas ta sama uległość w pielęgnowaniu niekontrolowanej wersji: „Potęga i świetność Polski, zbierającej za czasów Jagiełły owoce swej stuletniej pracy, okryła blaskiem w oczach potomności założyciela nowej dynastji w większym stopniu, niż na to zasługiwał. Jagiełło nie był ani wielkim wodzem, ani organizatorem, — politykiem był raczej sprytnym, niż bogatym w talent..."

Na tle tak pomniejszonej postaci króla Władysława, historjografja nasza tem gorliwiej wywyższała postać Witolda: widziała w nim groźnego antagonistę i współzawodnika Jagiełłowego, uosabiającego w sobie ideę odrębności i samodzielności litewskiej. „Cechował Witolda — pisze tenże J. Dąbrowski — wielki talent polityczny i organizacyjny; był wielkim wodzem i typem wielkiego władcy... który przewyższał bezwątpienia zdolnościami Jagiełłę. Czuł się Litwinem, wielkość i interesy Litwy zawsze i wyłącznie miał na oku... Witold też stworzył, a raczej sprecyzował program odrębności Litwy w stosunku do Polski, program zmierzający do przekreślenia pierwotnego dzieła Jagiełły..."



Owóż, do tej formuły tradycyjnej, obrośniętej patyną sędziwego przesądu, wnosi dr. Kolankowski radykalną korektę: samodzielność państwowa Litwy w stosunku do Polski była, jego zdaniem, zachowana nie naprzekór Jagielle, jak sądziła dotąd szkoła Długosza i jak sądzą nadal jego bezwiedni naśladowcy kowieńscy, ale dzięki Jagielle i jego rodowi. Temu Jagielle, którego autor nasz wyżej stawia od Witolda, i to nietylko pod Grunwaldem, ale od początku do końca.

Genjusz Olgierdowicza ujawnił się już w jego młodości, gdy jako wielki kniaź litewski, z pośród czterech sąsiadów: Niemiec, Moskwy, Kipczaku i Polski, wybrał związek najrozumniejszy i wówczas jedynie płodny, niemniej wszakże wymagający od swego inicjatora niezmiernej odwagi i energji, a jednocześnie bystrości oka, sięgającej w odległe czasy.

Wcielając w latach 1385 — 1413 całe państwo litewskie w skład „Korony Królestwa Polski", zmedjatyzował Jagiełło wszystkich Giedyminowiczów, tworząc z Polski i Litwy jednolite państwo, dziedziczne w swoim rodzie: fundament pod swój program mocarstwowy.

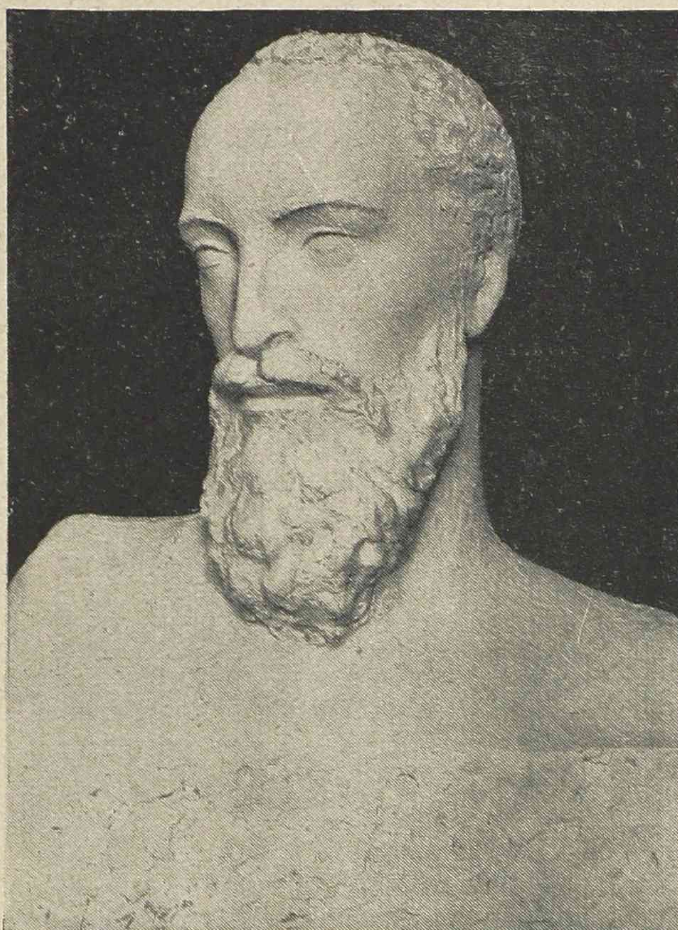
Z monografji d-ra Kolankowskiego poznajemy zasadnicze rysy tego, czem był i czem stać się mógł ów program monarchji Jagiełłowej, gdyby rozwinął się po linji urzeczywistnień, nakreślonych przez swego twórcę.

Niestety, pękł on już za życia Jagiełły, ostatecznie zaś pogrzebany został za Zygmunta Augusta: idea jednolitej monarchji, opartej o dziedziczny tron królewski, przegrała na rzecz parlamentaryzmu i unji dwóch państw, obarczonych zgubną zasadą obieralności królów,

Z Wystawy w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych



Strynkiewicz K. „Biust Piłsudskiego"



Pietkiewicz K. „J. Kochanowski"

Fot. A. Janczewska



Szadeberg T. „Ig. Paderewski"

która już po śmierci ostatniego dynasty dała przedsmak złowieszczych następstw, jakie się w niej taiły.

Program Jagiełły walczyć musiał z całym szeregiem przesądów, wynikających z kontrastu między tradycją państwową polską a litewską; rozbił się atoli o elekcyjne aspiracje możnowładców polskich.

Król Władysław, aby synów swych nie wydawać na łaskę elektorów koronnych, zmuszony był zapewnić im dziedzictwo na wielkoksiążęcym tronie Litwy: był to jedyny sposób, aby Polaków, pod grozą utraty Litwy, skłonić do obioru królów w obrębie „przesławnego rodu" Jagiellonów.

Stąd to, już przy końcu XIV wieku, kiedy to Litwini na ostrowie Salińskim okrzyknęli Witolda królem, była w tem prawdopodobnie ręka Jagiełły. Napewno zaś w Łucku r. 1429, pierwszym, który sięgnął po koronę litewską, był nie Witold, ale Jagiełło.

Korona ta była w oczach jego, oczywiście, symbolem suwerenności Litwy; ale nadewszystko miała być ogniwem, spajającem Polskę z tronem jego syna. Nie udało się wielkiemu monarsze zbudować tego, co zamierzał; ratował tedy to, co się ratować dało.

Jakąż rolę w tych planach Jagiełły przypisuje dr. Kolankowski Witoldowi?

Nie odmawia on mu wielkiej lotności umysłu i zalet osobistych przy sprawowaniu zarządu Litwy, ale nie waha się stwierdzić, że wszystko to, co dało Litwie bezpieczeństwo i konsolidację wewnętrzną, co pozwoliło jej szeroko rozwinąć granice na wschodzie, zawdzięcza państwo litewskie przedewszystkiem — Jagielle. „Z wielkich dzieł Witoldowych — konkluduje autor — nie można wymienić żadnego większego nad jedno, z którego wszystkie tak znakomite dla Litwy rezultaty jego rządów płynęły: najściślejsze popieranie i wypełnianie w decydujących momentach planów i dążeń Jagiełłowych".



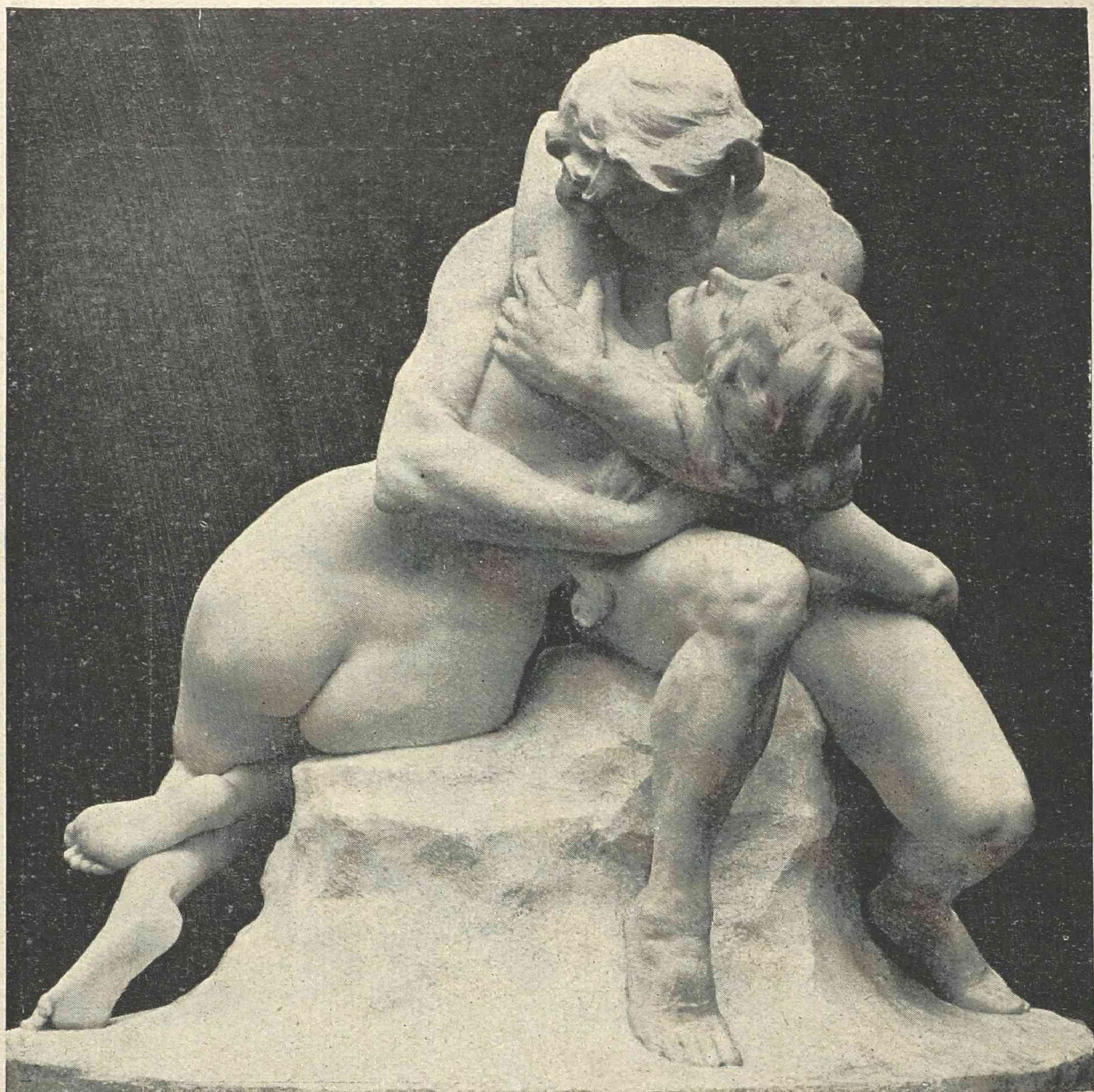
Dzisiejsi, zatruci doktryną nienawiści politycy kowieńscy, szukając oparcia dla swego separatyzmu w osobie Witolda, nie zdają sobie sprawy, jak dalece stają się ofiarami własnej i cudzej legendy.

Korona, której widmo zalśniło przez chwilę nad głową umierającego Kiejstutowicza, nie była buntem przeciw Jagielle, ale właśnie refleksem jego dynastycznej i mocarstwowej polityki. Berło królewskie pragnął widzieć w ręku Witolda sam Jagiełło; pragnął widzieć je poto, aby w spadku po stryju mógł wziąć je syn Jagiełły, krępując w ten sposób elekcyjne zapędy panów koronnych.

Oto dlaczego praca dr. Kolankowskiego jest najcelniejszym darem, jaki Polska może złożyć przed pomnikiem Witolda w dniu jego pięćsetnej rocznicy: jest ona darem prawdy, poczętej w szlachetnem dążeniu do światła, wyższego ponad antagonizmy państw i potężniejszego ponad nienawiść fanatyków.

W. Rzymowski

W I O S E N N E S A L



Beguine „Pocałunek“



Pommier-Zaborowska „Portret“
(Miniatura)



Nałkowska Bick „Akt“



A. Faure „Panna z parasolką“

ONY PARYSKIE





G. Pierre „Poranek“



Gaston Guedy „Młodość“







Fot. J. Roseman

Sieffert
„Zamknięta książka“



Z wiosennych Salonów Paryskich w 1930 r.

Jedyny jest w swoim rodzaju rzut oka z pierwszego piętra na ogromną halę Salonu Artystów Francuskich, gdzie bieli się istny las rzeźb i posągów wśród krzewów zielonych i kwiatów. Po przeszło 80 salach i niezliczonych galerjach przesuwają się tłumy. Gwar rozmów miesza się z dźwiękami orkiestry i radio... Pokazy, poranki, odczyty...

Któżby się domyślił, że jest to najstarszy w świecie salon, mający za sobą tradycję przeszło 250-letnią! Związany ścisłemi więzami z paryską Szkołą Sztuk Pięknych, nosi jej piętno i dzieli jej losy. Zależność od tej arcy urzędowej instytucji musiała się odbić na nim w sposób specyficzny, niekoniecznie korzystny. Nietolerancja różnych malarzy przez profesorów rządzących tu od wieków wywołała kilka secesyj, z których powstały Salony Niezawisłych, Jesienny, Tujleryjski. Wszakże jeśli oryginalniejsze nowatorskie talenty porzuciły te ciasne niegościnne dla nich mury, tradycja Artystów Francuskich ze wszystkiemi jej ujemnemi stronami posiada nieoceniony przymiot ciągłości i trwania. Nowsze i jaskrawe salony, idąc za radykalną modą, zużywają się szybko i zatracają stopniowo swój rozmach i klijentelę. Nadmiar nawet indywidualności wybitnych i odosobnionych działa na nie destrukcyjnie, na dłuższą metę. Przeciwnie, po usunięciu się gwałtowniejszych jednostek, zarybek nieraz bardzo zdolny dawnych uczniów Szkoły Sztuk Pięknych zasila ten salon dopływem młodych sił. Wnoszą one powiew świeższy, który, nie zmieniając zasadniczego oblicza Artystów Francuskich, zapewnia ewolucję umiarkowaną lecz stałą. Akademickość konwencjonalna ustępuje pomału miejsca zmodyfikowanym echom impresjonizmu, tendencjom bardziej realistycznym, wreszcie próbom neo-klasycznym. Stary więc Salon odnawia się i rozwija, przerabiając bez pośpiechu na ogólny użytek nabytki prądów, które gdzieindziej wyczerpały już swą nowość i żywotną siłę. Szersza publiczność nieświadoma jest jego grzechów chronicznych ani podziemnej, powolnej ewolucji. Obdarza go przecież niezachwianym kredytem. Żadna bowiem z pokrewnych mu instytucyj nie cieszy się ani w przybliżeniu podobną frekwencją. Zajmujący ten problem psychologiczny zasługuje na wyjaśnienie.

Więc najprzód *temat* obrazu w innych salonach traktowany prawie ze wzgardą na korzyść innych walorów czysto malarskich zachował tu rolę pierwszorzędną. Portrety w mundurach, sukniach, frakach etc. osobistości znanych i urodziwych pań są podobne do swych modeli. Sceny mitologiczne, historyczne, panneaux dekoracyjne, niezliczone z gustem dobrane martwe natury, pejzaże w świetle księżyca, wschodu i zachodu słońca, zimowe, wiosenne, letnie, wnętrza i obrazy rodzajowe... nigdzie publiczność nie czuje się zdezorjentowana lub urażona w swych przyzwyczajeniach. Wszędzie odnajduje staranność faktury i dbałość o szczegóły. Na portretach pań może podziwiać narówni z ładnemi buziakami zalety kosztownej materji sukni i krój pierwszorzędnych modniarek! W kompozycjach i pejzażach spotyka się z sentymentem przystępnym jej i sympatycznym.

Wcale wysoki poziom techniczny rzemiosła malarskiego podnosi tu jeszcze walor *malowniczości*, na który rzesze są czułe. Wirtuozerja w osiągnięciu efektów wszelkiej natury olśniewa. A przytem w doborze i traktowaniu tematów przeważa troska o popularną estetykę ładności, która z punktu zniewala mało wybredny gust tłumu. Wystarczy porównać np. akty w innych salonach, tęższe i ciekawsze ale najczęściej brzydkie, z aktami Artystów Francuskich. Mogą one być karmelkowe, banalne w linji, o tonacji ciała dowolnie blado kremowej lub różowej, z reguły będą apetyczne. Widok tych nadobnych nagości o naskórku satynowym, bujnie lecz w miarę zaokrąglonych — w pozycji siedzącej, leżącej, stojącej — na tłach sugestywnych — łechce mile siatkówkę widza spragnionego „poezji".



BRANDT. „SATYRA GŁOWA"

W gruncie rzeczy szeroka publiczność szuka w sztuce wytchnienia przyjemnego bardziej, niż silnych wrażeń. Ładne obrazki zachwycają ją, tak jak wesołe komedyjki, zgrabne balety i malownicze filmy. Wobec pomnożenia konsumentów wypada jednak liczyć się z tą psychologją i jej potrzebami. Można nad tem ubolewać w imię wielkiej Sztuki, ale pamiętać o tem trzeba.

Wśród tej powodzi obrazów kompozycje historyczne świeżej daty „Odzyskanie fortu Doaumont" *Fouqueray'a* i „Hołd Clemenceau" *G. Bellana* rywalizują z ciężkawą ale cenną „Lekcją anatomji" *Thésonnier'a*, z panneaux dekoracyjnemi *H. Martina* i *J. Julliena*. Podejrzewam wszakże, iż masę widzów przyciągają przedewszystkiem smakowite i subtelne akty G. Pierre'a Tronceta, Siefferta, G. Guidy. Panie rozpływają się w zachwytach (zasłużonych) nad Damą w błękitnem Etchéverry'ego, nad Panną z parasolką. Faure, Baschet, Jamar, Finez, Sabatté, Soenesco, Roseman, etc. odnoszą sukcesy w pejzażu, portrecie, wnętrzach.

W rzeźbie tendencje od konwencjonalizmu dekoracyjnego idą w kierunku realizmu. Na przełomie pomiędzy temi szkołami można postawić wybitny talent zmarłego niedawno *Béguina*. Piękny jest pomnik monumentalny *Sicarda* (Ku czci poległych na wojnie australczyków). Niezbyt pochlebne pojęcie o naszych przodkach daje gorylowaty Człowiek z Neanderta *du Dardego*. Ciekawe są prace Desruelles'a, Patrisse'a, Seysses'a, Niclausse'a.

Z Polaków wysuwa się na czoło z dwoma doskonałemi portretami (autoportret i podobizna świetna P. Prezydenta Rzeczypospolitej) *B. Czedekowski*. *P. L. Finkówna* debiutuje z interesującym gustownym aktem. Dużo bogactwa wyrazu przy technice delikatnej i skondensowanej umie nadać swym miniaturom p. *Pommier Zaborowska*, gdy sylwetki p. *K. Dąbrowskiej* celują swym wdziękiem. Wartościowe są prace p. Gałęzowskiej i Chlebusa.

Z rzeźbiarzy polskich p. *F. Black* otrzymał za swój szlachetny biust Boliwara nagrodę na konkursie międzynarodowym. *P. Nałkowska Bickowa* z kapitalnem poczuciem konstrukcji przedstawia dwa akty, w których koncepcja syntetyczna artystki równoważy jej zdrowy zmysł realistyczny. Góral (w drzewie) p. *Brzegi* ma dużo wyrazu i nastroju.

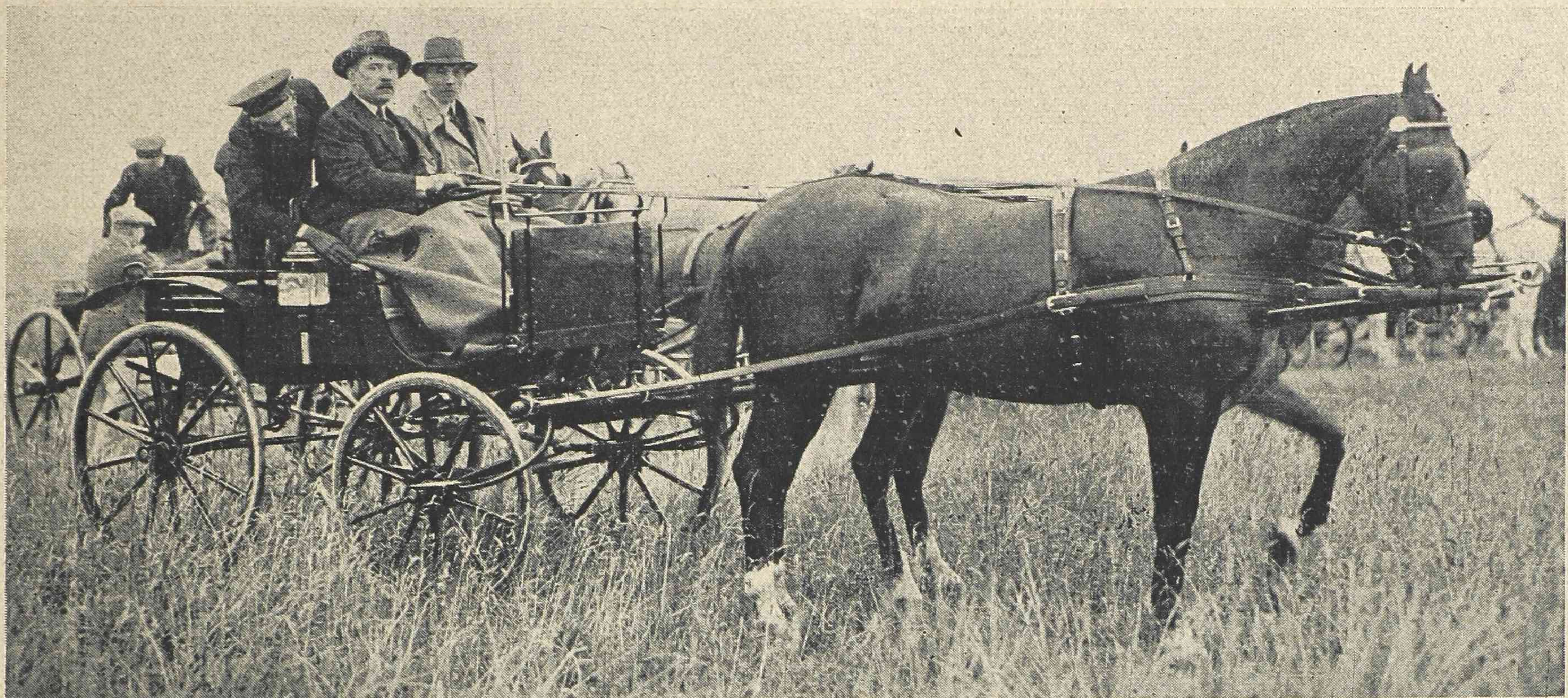
Przechodzimy do sąsiedniego Salonu Société Nationale. Istne królestwo cieni. Przesuwam się, jak widmo płosząc czasem jakąś parę zabłąkaną w poszukiwaniu samotności... Echa kroków gonią szłowieka po tych salach przyciemnych, gdzie ongiś słynny i zasłużony salon wysącza resztki żywota. Paru starszych mistrzów, jak Forain, miss How wystawia tam przez inercję czy pietyzm. Młodsi i starsi — z talentem — odeszli prawie wszyscy. Luki się nie zapełnia, zapycha.

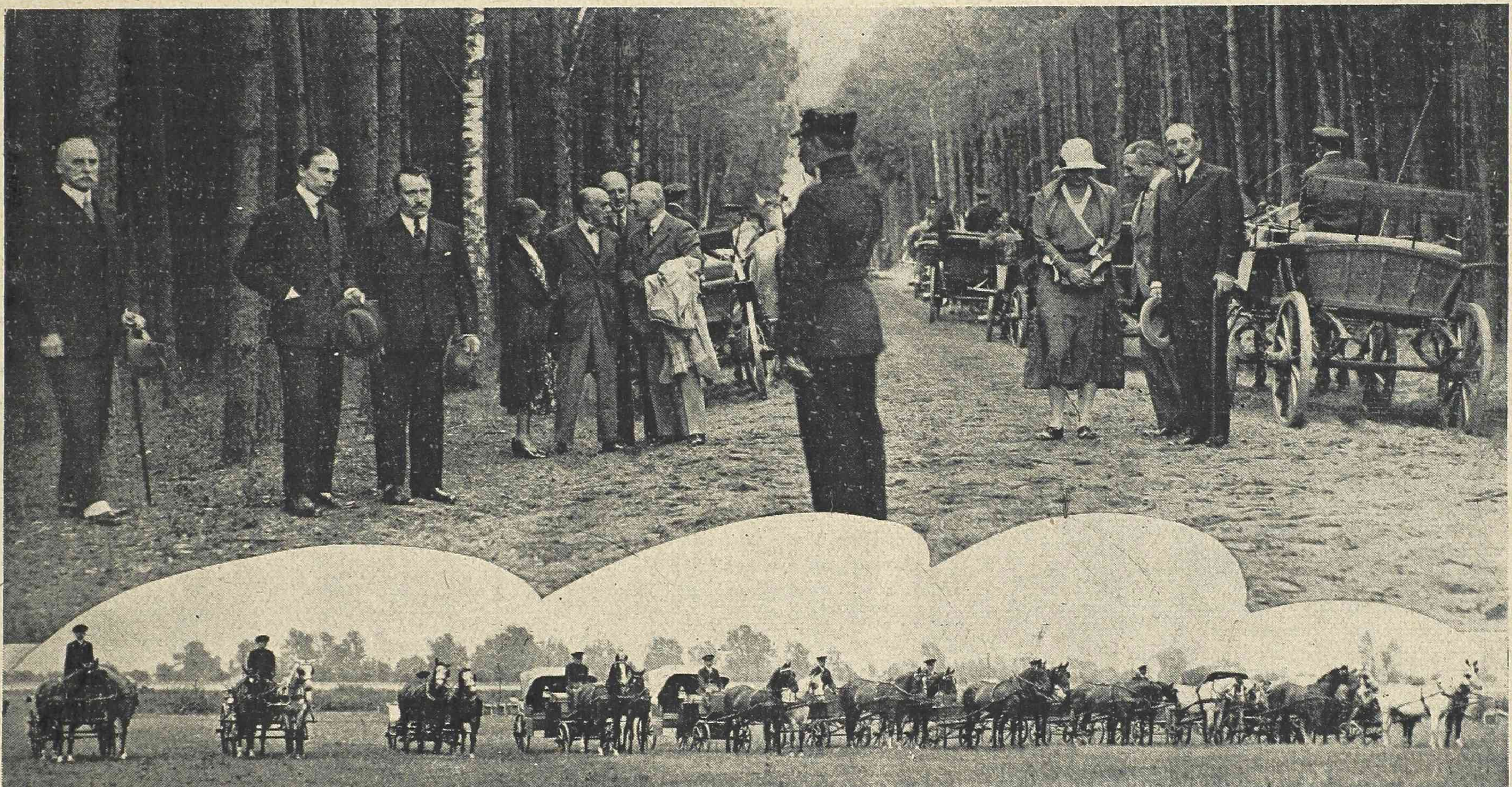
Szkoda na to naszych artystów, którzy z tej pustyni jałowej ani wawrzynów sobie ani dolarów nie przysporzą. Ewokacyjne wizje Wenecji *Terlikowskiego* stygną na tem odludziu. Samotnych dębów potężnych *Peskego* niema kto podziwiać. Sympatyczne pejzaże *Świeykowskiego* i *Żukowskiego* portrety i postacie *Machaczka*, *Woytkiewicza*, *Kwiatkowskiej* — któż je ogląda? *Brandel* figuruje z dwoma olśniewającemi fantazją i jędrną finezją sztychami. *P. Lepla* dał dwa głęboko pojęte portrety amerykańskie (rzeźba), które chciałoby się widzieć w jakiemś wielkiem muzeum. Subtelny, ognisty portret swej żony wystawił *p. C. R. Martin* (z domu Święcka).

I na ostatek policzmy, jako zasługę temu konającemu salonowi, pomysł powtórzenia pierwszego stałego salonu z przed dwustu lat. W jednej rozległej dość sali zebrano pierwszorzędnych Chardina, Nattier, Quentin Latoura, piękne okazy Boucher, Tocqué, Restout, Aveda, etc. Patyna spokojnej mistrzowskiej techniki XVIII-go wieku zachowała swe nieprzemijające walory. Nasuwają się dwa wnioski. Ta jedna sala pogrąża cały salon de la Société Nationale, robi ciężką konkurencję Artystom Francuskim. Ale rozmachem i oryginalnością szeregowi mistrzów współczesnych właściwie nie dorównywa. Tyle sobie powiedzmy na pociechę.

Paryż. *Edward Woroniecki*

Wizyta J. K. M. Hr. Paryża w Łochowie u sen. E. Kurnatowskiego







Podczas swego pobytu w Polsce J. K. M. Hr. Paryża odwiedził sen Eryka Kurnatowskiego w Łochowie. Podczas tej wizyty senatorostwo Kurnatowscy gościli u siebie posła belgijskiego Bernarda de l'Escaille, generała hr. de Gondrecourt, p. ministra Charles Benois i cały szereg wybitnych osobistości ze świata towarzyskiego i dyplomatycznego. Na górnej fotografji: J. K. M. Hr. Paryża, w towarzystwie gospodarza, niżej pobyt gości w bażantarni wśród 2000 młodych bażantów

Fot. N. Pełczyński

W krainie śmierci i ofiary

(Korespondencja własna „Świata")

Katastrofa. Nieszczęście. Setki, tysiące ofiar. Kiedy słowa podobne rzuci telegraf po całym świecie, to wstrząs grozy przebiega tych, którzy te słowa widzą na łamach pism. Ten wstrząs grozy łączy się często z odruchem pięknego, szlachetnego współczucia, często również wywołuje odruch strachu.

Inaczej jednak czuje się, widzi tę katastrofę, będąc blisko niej i poszkodowanych. Po wielkiej wojnie, uczucia ludzkie stępiły się. Hekatomby ofiar oraz straszne skutki jakie podczas niej namacalnie miljony ludzi zaznały, skoro *nauka się wdała do dzieła zniszczenia,* przyzwyczaiły masy do niedziwienia się niemożliwościom.

Gdy ludzie padali jak muchy, wskutek wypuszczonych na odległość mas gazów trujących, gdy miasta i pola zamieniały się w cmentarze, gdy z pod obłoków setki ton rzucanych bomb rozrywały Bogu ducha winne dzieci i starców, a miasta tak olbrzymie, jak Paryż, na gwizd ostrzegawczej syreny zbiegały i kryły się w podziemiach swych piwnic i katakumb — ludzie przestali się dziwić. Dziś katastrofa pociągu z dziesiątkiem zabitych, lub spotkanie się okrętów i zatonięcie kilku łodzi ratunkowych stały się dla przytępionej na cudze nieszczęście wrażliwości sprawą drobną „przelotną".

Mimo to jednak, obecna katastrofa trzęsienia ziemi we Włoszech wywołała odruch grozy i współczucia na całym świecie. Zakres wstrząsu podziemnego, jego siła i tragiczność wytworzonej sytuacji poruszyły niewątpliwie najodleglejsze i najbardziej zblazowane serca.

Lud włoski jest wyjątkowo dobry, jego bezinteresowna miłość bliźniego bije w oczy każdego, kto się z nim dłużej, bliżej zetknął. Człowiek, który upadnie, rozbije się na ulicach Neapolu, Rzymu, Assyży czy Florencji, jest podniesiony i otoczony opieką przechodniów, serdecznie wypytujących go i podtrzymujących w razie poważniejszych uszkodzeń, w zapytaniach czuje się istotną troskę o tego przypadkowo słabszego, zbolałego bliźniego. Te objawy można spotkać wszędzie i zawsze, są one najzupełniej bezinteresowne, są odruchem serca — lud, który ponad wszystko ukochał dzieci, część tej miłości w jej odmianie samarytańskiej przenosi na osoby chwilowo czy przypadkowo słabe. To serce ludu włoskiego odnajdujemy obecnie w czasie tragicznej i olbrzymiej katastrofy trzęsienia ziemi w Neapolu, Salerno, Foggii, Lacedonji, Villa Nuova, Avellino i szeregu innych mniejszych gmin.

Wiadomości telegraficzne odsłoniły już całą grozę i rozmiar wypadków oraz ilość ofiar dotąd zaledwie w przybliżeniu ustaloną, gdyż codzień niemal nowe straty są notowane. Nie powtarzam więc rzeczy znanych.

Opisywać grozę tych, którzy na miejscu katastrofy spędzili tragiczną noc, jest zadaniem wielce ryzykownym. Na palecie tych, którzy bezpośrednio w samym centrum, *w momencie katastrofy nie byli,* zawsze się odnajdą kolory literackiej stylizacji, zawsze można wszystko jest to „temat", czyli pole do przesady, czy do mimowolnego pięknosłowia.

Ci zaś co grozę tę przeżyli, albo milczą z rozpaczą w oczach, albo przeżywają uczucia tak jak człowiek, który na chwilę utraciwszy głos, próbując czy go odzyskał, zaczyna krzyczeć.

Ludzie, którzy spędzili noc oko w oko ze śmiercią, na których czyhało kalectwo w ciemnościach, którzy widzieli cały swój dobytek, często owoc całego życia wniwecz obrócony, którzy słyszeli jęki i wzywanie ratunku swych najbliższych ukochanych i *nie mogli im dać pomocy, bo albo nie widzieli nic w ciemnej nocy,* albo nie mieli narzędzi ratunkowych, albo sił aby uporać się ze zwałami gruzów, ludzie ci, którzy przeżyli okropność tracenia najbliższych bez możliwości okazania im pomocy i w poczuciu własnej bezsilności, czy mogą opowiadać swą rozpacz?

Wystarczy wczuć się przez chwilę w to, co ci ludzie przeszli, aby w obliczu ich nieszczęścia zaniechać opisów ich bólu. Niechże uczynią to polscy czytelnicy tych słów i odczuciem w skupieniu tej przeżytej grozy ludności włoskiej, wyrzekną się dobrowolnie szczegółów o cierpieniu dalekiej a katastrofą dotkniętej zbiorowości ludzkiej i zjednoczą się z nią na odległość serdecznym uczuciem współczucia.

Serce ludu włoskiego, to pełne tkliwości, znalazło szerokie pole do wykazania swych walorów w okresie ratownictwa, które trwa dotąd z niezmniejszającą się siłą. Oto w piwnicach rozwalonego domu przy ścianie sterczącej jak groźne memento, przechodzący saperzy usłyszeli płacz.

Tam w głębi, pod gruzem, żyje małe dziecko.

Nad niem groźna ściana, która lada chwila może runąć. *Trzeba zdążyć!* To jedyne uczucie dominujące na tym terenie rozpaczy i dodające setnych sił ratownikom, *zdążyć uratować* tych co przysypani giną z głodu i ran w strasznem więzieniu swego własnego doniedawna ukochanego domu!

W podziemiach płacze dziecko. Dwaj saperzy rzucają się do pracy — pracowali już całą noc. Nic to, niema dla nich ośmiogodzinnego dnia pracy, oskardy ich i rydle powyginały się, stal ich okazała się słabsza od ludzkiej dobrej woli. Zaczyna się gorączkowa praca. Praca ostrożna, podstępna aby nie podkopać okrutnej ściany, wiszącej nad nimi i nad przysypanem dzieckiem. Kopią, odkładają kamienie, biją oskardem aby powiększyć prąd powietrza dopływający do przysypanego. Od czasu do czasu to jeden, to drugi rzuca przez zaciśnięte od wysiłku zęby: „nie płacz maleńka, zaraz, zaraz wyciągniemy cię z tego dołu"! Mówią to i odwracają spojrzenie ku groźnej ścianie. Siedzi na niej szyderczo wykrzywiona śmierć i zdaje się liczyć uderzenia oskardów, aby pchnąć zdradziecki mur i zabrać trzy życia ludzkie.

Jeden z saperów słabnie z wysiłku uderzenia jego stają się mniej celowe. Zato drugi pracuje jak opętany, pot lepi mu się na twarzy z kurzem i krwią płynącą z licznych drobnych zadrapań, pracuje dwuch za dziesięciu, co jakiś czas rzuca tylko swemu towarzyszowi: „Forza, forza, Beppo!" I słabnący Beppo podniecony głosem towarzysza dobywa resztkę sił. Pomocy znikąd. Wszyscy resztkami sił pracują w miejscach najbardziej zagrożonych.

Z pod gruzów dziecko na zmianę to płacze, to zapytuje „kiedy mnie stąd wyjmiecie, dajcie mi pić". Jeszcze chwila, jeszcze chwila zmieniająca się w godzinę i nareszcie ludzka wola i wytężenie wszystkich muskułów czynią swoje. Kręta, wymyślna szczelina wyżłobiona, jeden z saperów okręca pas dookoła dłoni, ostrożnie wsuwa się w czeluść i po chwili wyłania się z dzieckiem trzyletniem uwieszonem u szyi. Oto jego nagroda, za nadludzki wysiłek, te drobne ramionka niemal kurczowo zaciśnięte dookoła szyi, po twarzy wyczerpanej, umęczonej płyną łzy, żłobiąc sobie drogę wśród dziwnej mazi pyłu, potu i zaskrzepłej krwi, przylgniętej do policzków.

Żołnierz, wcielenie marsa, pojęcie od starożytności zespolone z siłą i surowością, pojęcie walki, śmierci i wojny! a oto tu, ten „mars" opleciony drobnemi rączynami uratowanego dziecka, jest wcieleniem miłosierdzia i ofiarności.

Kontrast niezwykły, a tak wzruszający, że ci, którzy widzieli tę walkę dla uratowania tego maleństwa, nie mogą powstrzymać łez i nie ukrywają ich.

Szary, spracowany saper odnosi dziecko do punktu odżywczego i idzie dalej, idzie dalej ze swym jeszcze bardziej wykrzywionym oskardem na poszukiwanie nowych istnień zagrzebanych, a jeszcze dyszących nadzieją ratunku.

Takich scen, takich wysiłków mamy przykłady na każdym niemal kroku.

Akcja ratownicza została zorganizowana świetnie, planowo i karnie. Dostawa żywności, środków ratunkowych i opatrunkowych, *wody*, odbywa się regularnie i wzorowo. Tę organizację uskutecznił rząd i organizacje społeczne działając sprawnie i celowo. Jeżeli jednak osiągnięto maksymalne rezultaty, to dzięki temu właśnie, że pomoc i ratunek nie idą z nakazu, ale oparte są właśnie na tej dobroci i czułości serca włoskiego ludu. Dla uratowania jednego, małego dziecka, naraża się dziesięciu ludzi, dla których to dziecko jest obce. Naraża się nie w efektownym skoku do wody, gdy na bulwarze setka osób może podziwiać ten gest, ale tam, w krainie gruzów i rozpaczy, gdzie jedna nadwątlona ściana może „dokończyć" tak ratowników, że o nich nawet ślad zaginie.

Kiedy na tych ruinach zjawił się król włoski, kiedy wbrew radom świty, szedł on ku miejscom najbardziej zagrożonym i kiedy uczestniczył niemal fizycznie w akcji ratunkowej, to radość witających go miała w sobie odruch tego istotnego prawdziwego przywiązania, jakie wytwarza zrozumienie wzajemnego bólu i nieszczęścia.

Tak jak dawniej na froncie, król Wiktor Emanuel, szedł wśród ruin, zawalisk, rannych i zabitych, szedł na zagrożone punkty, krzepiąc swym widokiem ocalonych i rannych. Czuli oni, że nie jest ich ból niezrozumiany, czuli opiekę i co najważniejsze, serce państwa.

A dziś, dziś już choć akcja ratunkowa nieukończona, choć patrole ciągle jeszcze odnajdują nowe ofiary, którym niosą pomoc, na pola okoliczne koło Melfi, Avellino i *inne wyszły już postacie o twarzach jeszcze skurczonych bólem, ale z wolą nowej pracy celowej*, wyszły by niezakończone zbiory uskutecznić, by nie dać zginąć temu, czego trzęsienie ziemi nie zniweczyło. Praca wre, praca twórcza obok pracy ratunkowej. Rząd zapowiada olbrzymią pomoc, a ludność odnajduje już swą energję i odbudowuje życie tam, gdzie przeszły śmierć i groza.

Rzym. *Zofja Norblin-Chrzanowska*



Trzęsienie ziemi w południowych Włoszech: 16 tysięcy ofiar

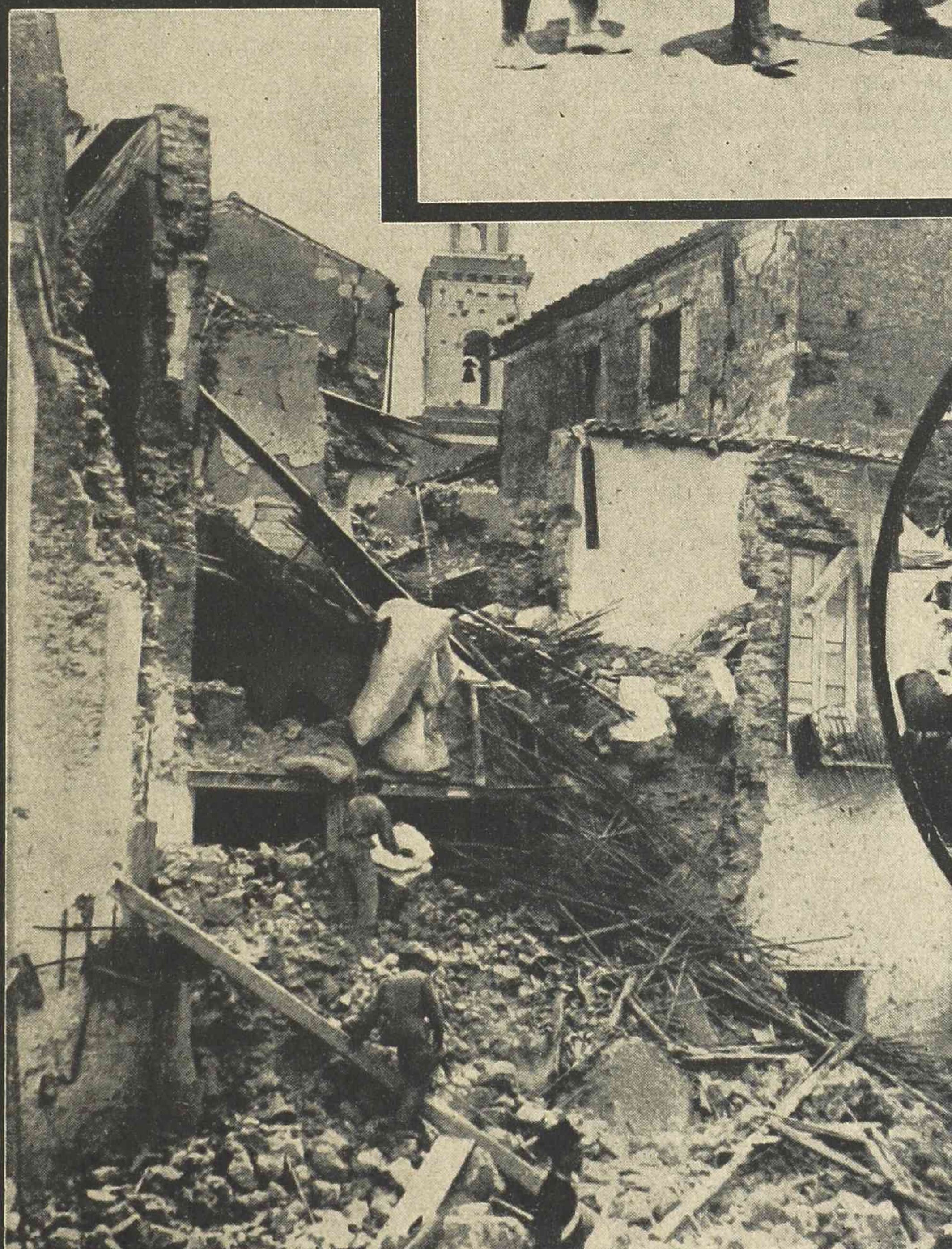


Rozwalony dom: z pod gruzów wydostaje kobieta przedmioty, mogące jeszcze przydać się w gospodarstwie

Fot. The New-York Times

Wojsko transportuje rannych do prowizorycznych, polowych lazaretów

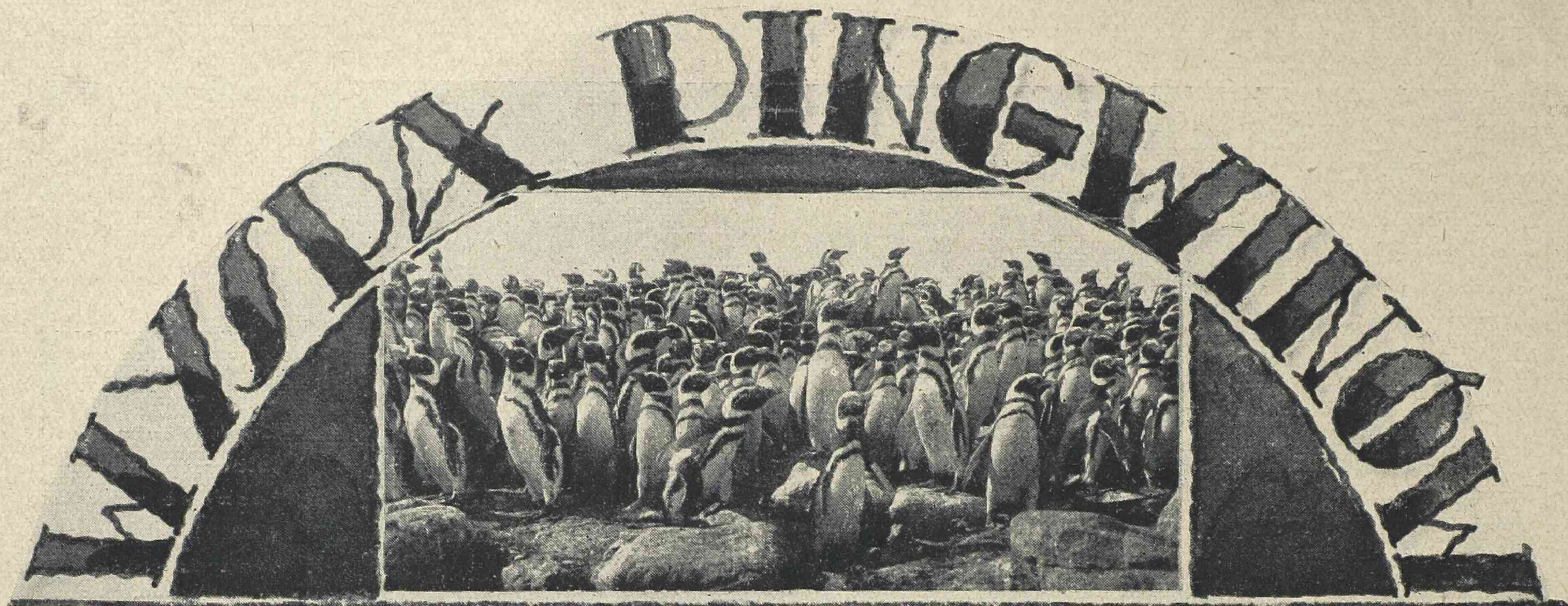






Zniszczone przez trzęsienie ziemi miasto Melfi: bezdomni pod opieką wojska nocują w obozie

Poszukiwanie pod gruzami rannych mieszkańców Melfi



Punta Arenas, 1930 r.

W cieśninie Magiellana leży wiele wysepek, ale tylko na jednej istnieje kolonja pingwinów. Brzegi kontynentu amerykańskiego i brzegi Ziemi Ognistej, leżące nawprost niej, są bezludne, a więc i pingwinów nikt w ich pieleszach doniedawna nie niepokoił. Zmieniło się to ostatnio, gdy człowiek wybudował w samem centrum ptasiej stolicy niewielką latarenkę morską i osadził w niej dwóch ludzi. Ale o tem później...

Na wysepkę wybrałem się niewielką łodzią żaglową w towarzystwie pewnego chilijskiego rybaka. Chociaż był to kwiecień, a więc pełna jesień w tamtych stronach, słońce świeciło jasno i cel wyprawy, jak również i brzegi pobliskiej Ziemi Ognistej, widniały bardzo wyraźnie. Gdyby nie przejmujący chłód i silny wiatr południowy, trudno byłoby dać wiarę, że mijamy właśnie słynną z pochmurnej pogody cieśninę Magiellana. Żaglówka, prowadzona umiejętną ręką krajowca, mknęła po grzbietach fal niczem jedna z tysiącznych mew, „zaludniających" te wody.

Już zdaleka doszedł mnie gwar pingwinich głosów, a oczy moje uderzył niezwykły widok ich kolonji.

Te dziwaczne ptaki, chodzące z dumnie podniesioną do góry głową, niby ludzie, mają niemniej dziwaczny zwyczaj mieszkania na pewnych ograniczonych, zwykle pustych wysepkach. W przeciwieństwie do innych ptaków, nie posiadających tak wyraźnie określonych granic zamieszkania, pingwina czyli bezlotka prawie niesposób znaleźć samotnego, czy też w małej grupie. Jednym z takich uprzywilejowanych przez nich punktów była właśnie wysepka M a g d a l e n a w cieśninie M a g i e l l a n a, do której zdążałem wraz z chilijskim rybakiem.

Przybiliśmy do lądu w pobliżu latarni morskiej.

Na nasze spotkanie wyszli obaj latarnicy uradowani niespodziewnemi odwiedzinami.

Pierwsze wrażenie, jakie podróżnik odnosi na wyspie pingwinów, to nieprawdopodobny poprostu zaduch. Te pół miljona bezlotków, a ma ich być tam podobno tyle, nietylko poluje na ryby i spożywa je, ale także załatwia inne funkcje życiowe równie naturalne, jak nieestetyczne. Wrażenie niemiłe dla nosa rekompensuje niezrównany wprost widok dla oczu. Dziesiątki, setki, tysiące pingwinów przechadzało się spokojnie po wybrzeżu morskiem, tyle zwracając na nas uwagi, ile myśmy przed chwilą zwracali na stada mew, podążających za naszą żaglówką. Zadziwiający jest ten filozoficzny spokój, z jakim pingwiny traktują obecność człowieka. Są to bodaj jedyne na świecie stworzenia boże, które „gwiżdżą" sobie na nasze władne osoby. Ile razy podchodziłem do jednej z ich grup, tyle razy grupa szła na moje spotkanie. Gdy próbowałem którego pochwycić, usuwał mi się z pod ręki leniwie, coś tam gdacząc, co wyglądało, jakgdyby mnie strofował za niewczesny żart. Śmiałości tej człowiek nadużywa naogół mało, gdyż mięso tych ptaków śmierdzi tranem i nie nadaje się do użytku. Jedynie ich jaja zabierają pobliscy mieszkańcy chętnie, gdyż są dobre i dają się długo przechowywać.



PINGWINY NA SPACERZE

Pingwiny grzebią obszerne nory, w których zwykły nocować i chować się podczas nazbyt mroźnych dni. Karmią się wyłącznie rybami, które umieją chwytać bardzo zręcznie. Wielka obfitość ryb, charakteryzująca morza południowe, pozwala z łatwością wyżywić nawet tak wielkie kolonje bezlotków, jakie znamy przy brzegach Patagonji w pobliżu ujścia rzeki Deseado, na wyspie Nowego Roku, na wyspie Stanów, lub na niektórych wybrzeżach Ziemi Ognistej.

Jak wspomniałem na początku, pingwiny z wyspy Magdaleny żyły doniedawna w absolutnej samotności, nie niepokojone przez ludzi. Od czasu wybudowania latarenki morskiej, zmieniło się tu wiele. Wprawdzie na wysepce zamieszkało tylko dwóch ludzi, ale i tej małej liczbie wydało się za ciasno wespół z pingwinami. Człowiek, najdziwniejsza z istot ziemskich, poprostu nie znosi suwerenności innych stworzeń w swoim pobliżu. A na wyspie Magdalenie pingwiny były gospodarzami bez najmniejszej wątpliwości. Sprowadzono tedy psy.

— Dobry pies — chwalił się starszy latarnik — może dziennie udusić pięćdziesiąt i nawet siedemdziesiąt pingwinów.

Zrobiło mi się przykro.

— A pocóż wy te ptaki tak tępicie? Czy robią wam jakie szkody?

Latarnik spojrzał na mnie zdziwiony.

— Nie — rzekł szkód nie robią, ale widzi pan, mieliśmy tu jednego konia, który wpadł do jednej z ich jam i złamał sobie nogę.

— Musieliśmy go dobić — dodał drugi latarnik i chcąc sprawić mi snać efektowne widowisko poszczuł psa na grupę wygrzewających się na słońcu ptaków.

Dobrze wytresowany pies dobiegł do pingwinów w kilku wielkich susach i zanim zdążyłem się zorjentować już leżało

na ziemi z pół tuzina ptaków z poprzegryzanemi szyjami, a z psiej paszczęki spływała obficie niewinna krew niewinnych stworzeń.

— O, wy podłe nasienia, okrutnicy, jak wam nie wstyd urządzać sobie takie krwawe zabawy — krzyknąłem na nich zirytowany.

Ludzie patrzyli na mnie zdumieni.

— Co się panu stało — odezwał się wreszcie ten, który wydawał mi się „starszym" — przecież to pingwiny. Czyż pan nie wie, że one są doniczego. Przecież tylko jaja...

— Wiem, że to świństwo zabijać bez potrzeby nawet takie ptaki, z których człowiek nie ma żadnego pożytku.

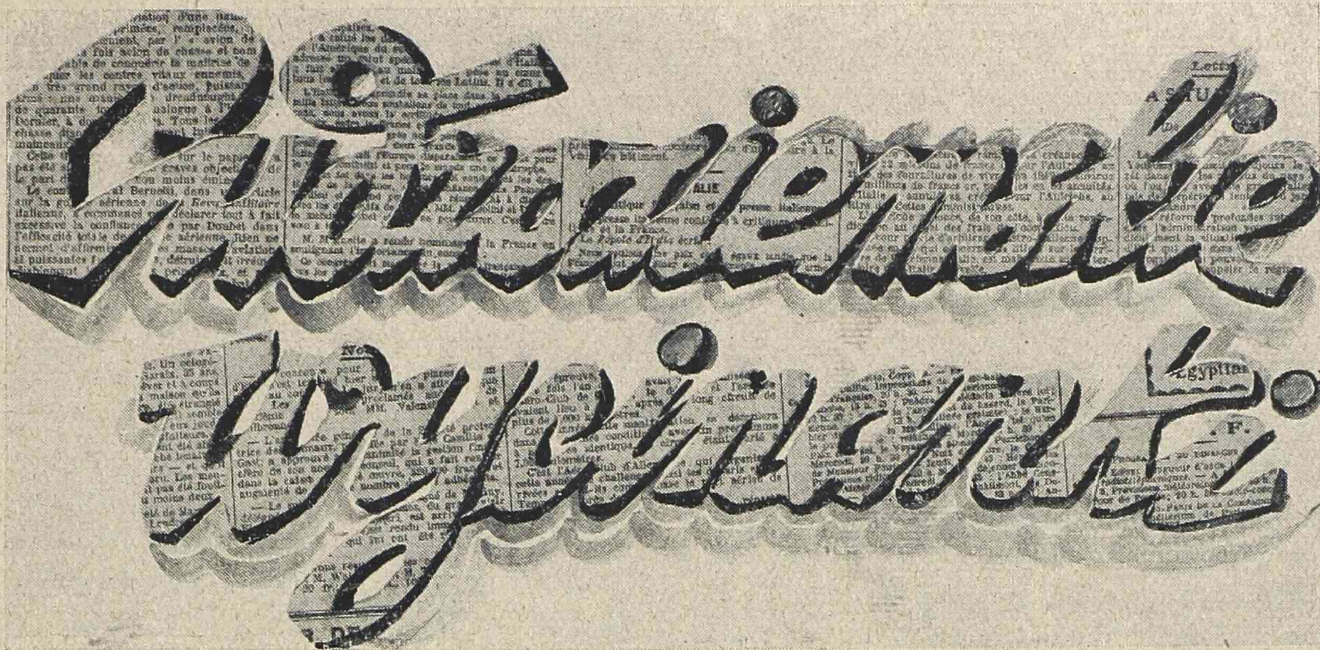
Ludzie z wyspy Magdaleny nie rozumieli, o co mi chodzi. Miałem wrażenie, że wzruszali nade mną z politowaniem ramionami. Kto wie, może wzięli mnie za warjata...

Również i pingwiny nie wydawały się zbyt poruszone faktem gwałtu, popełnionym na nich przed chwilą. Oddaliły się od poprzednio zajmowanego miejsca o kilka kroków i ponownie oddały się sjeście. Zdecydowanie zadowolony był jedynie pies. Kręcił ogonem i wycierał sobie o trawę zakrwawioną mordę, poszczękując, jakgdyby dopominając się nagrody za sumiennie wykonaną pracę.

Poszedłem w głąb wysepki. Nie rośnie na niej ani jedno drzewo. Gdzieniegdzie tylko widniały kępki karłowatych krzaków o anormalnie wielkich korzeniach, chroniących te rośliny przed huraganowemi wiatrami, wiejącemi w lecie. Nędzna trawa i nieco mchów dopełniały ubogiej flory wyspiarskiej. Brak roślinności nagradzał widok mnogich rojów, dorodnych bezlotków, świecących olśniewająco białemi gorsami swoich podbrzuszy. Obserwowałem je z ciekawością, ale gdy kilkakrotnie zapadłem się w ich nory i rozgniotłem niechcący kilka osobników, straciłem chęć do chodzenia po wyspie i skierowałem się ponownie ku latarni morskiej, u stóp której czekała żaglówka i przewodnik.

Czy pingwiny wyginą? Zapewne. Los ich, podobnie jak los wielu bezbronnych a ufnych stworzeń, nie przedstawia się wesoło. Jedynie dzięki temu, jak to już zaznaczyłem wyżej, że człowiek nie wymyślił jeszcze z ich ciała potrawy, zawdzięczają swoje istnienie. Ale i to nie jest pancerzem dostatecznie mocnym. Przecież latarnie morskie wybudują ludzie kiedyś i na wyspie Nowego Roku i na przylądku Horn, a może nawet na wyspie Stanów i na pustych brzegach lądów arktycznych. Cofające się przed cywilizacją ptaki, zaginione już nieomal przy kontynentalnych brzegach południowego krańca Południowej Ameryki, dojdą do granic świata mieszkalnego i tam, w pobliżu wiecznych lodów koła biegunowego, zginą ich ostatnie kolonje.

M. B. Lepecki



Clemenceau słynie z ateuszostwa. Jest on nieubłaganym zwolennikiem oddzielenia kościoła od państwa. Obecnie wydał książki p. t. *Au Soir de la Pensée*, więc ten i ów dziennikarz zaryzykował wywiad z żelaznym ex - premjerem. W jednym z takich wywiadów Clemenceau powiedział:

— Trzeba panu wiedzieć, że należę do starej rasy klerykalnej. Co prawda już mój ojciec był zapalonym wolnomyślicielem. Gdy się cofnę w wiek XVI, znajduję tam między moimi przodkami tylko drukarzy i proboszczów. Stąd nawet ukuto powiedzonko, że „w rodzinie Clemenceau jest się proboszczem z ojca na syna".

* * *

Znakomity krytyk *Temps'a*, p. Paul Souday, napisał złośliwie żartobliwy wywiad z redaktorem Lefevrem, który robi pięćdziesiąt dwa wywiady literackie na rok, p.t. *Une heure avec...* — („Godzina z..."). Mówiąc w tym quasi-wywiadzie o „wywiadywanych" literatach, p. Paul Souday ma za złe panu Lefevre'owi, że powtarza bezkrytycznie wszystko, co słyszy w czasie interwiewu.

— Jak pan mogłeś, panie Lefevre, powtórzyć bez omówienia straszliwe obelgi Bernanosa przeciw Anatolowi France'owi? „Jego dzieło jest nikczemne" mówi Bernanos o panu Bergeret (o France'ie). Że „oszukał głód i pragnienie biednych... Jest to zbrodnia zasadnicza, absolutna.... która posłużyła okrutnemu starcowi tylko do uciechy profesora rozwiązłości" etc. Czy tak się mówi o wielkim pisarzu? Gdzie się wychowywal pański Bernanos?

* * *

W środę 25-go maja w Saint-Quentin p. Leon Cornaille, mieszkający przy ulicy Remiremont, usłyszał gwałtowny dzwonek w przedpokoju. Otworzył drzwi. Weszło dwoje ludzi. Mężczyzna powiedział:

— Pan jest zapewne służącym. Chcielibyśmy zobaczyć się z właścicielem mieszkania.

— Przepraszam bardzo — rzekł pan Cornaille —ale służący i pan domu stanowią jedną osobę.

Mężczyzna ledwie bąknął przeproszenie i wyłożył powód swojej wizyty:

— Jestem — rzekł — generał Otto von Bellow, dowodziłem grupą armji, których kwatera sztabowa była w Saint-Quentin. Mieszkałem w pańskim domu i spałem w pańskim łóżku, więc jedno i drugie chciałem pokazać mojej żonie.

Po chwili zdumienia pan Cornaille wyprosił generała niemieckiego za drzwi był to bowiem germański brutal, którego tu dobrze pamiętano z czasu wojny.

Generał Otto von Bellow siadł razem z małżonką we wspaniałe auto marki zagranicznej na placu ratuszowym i zapytał policjanta:

— Gdzie się tutaj dobrze jada w Saint-Quentin?

Przemiły turysta!

* * *

Profesor Strohl, dziekan Zurichskiego uniwersytetu, opowiada, że będąc dzieckiem, wielokrotnie obserwował w Alzacji fakt ciekawości słowików. „Gdy się usłyszało śpiew tego ptaszka — mówi prof. Strohl — a chciało się go zobaczyć, wystarczało poskrobać ziemię w pobliżu tego miejsca, gdzie śpiewał, i następnie ukryć się opodal. Po chwili zjawiał sie słowik i zbliska oglądał kawałeczek poruszonej ziemi. Czy to nie ten sam instynkt, który popycha ptaszka ku miejscu, poruszonemu przez ziemnego robaka?"

Możnaby stąd wywnioskować, że ciekawość rodzi się w żołądku.

* * *

Wyjątek z listu cesarskiego o kardynałach. ...Działo się przed półtora wiekiem. Józef II, cesarz Austrji, spadkobierca Świętego Imperjum Rzymskiego, w r. 1769 zjawił się w Rzymie podczas conclave, i był oficjalnie przyjęty w Kwirinale przez kardynałów.

Nazajutrz wysłał do Wiednia list, w którym jest takie zdanie:

„Kardynałowie tłoczyli się naokoło mnie z taką samą prostacką ciekawością, jak to czyni lud, gdy ma sposobność oglądania słonia, lub nosorożca".

Józef II, jak z tego widać, był już w młodości człowiekiem sarkastycznym.

r. r. r.

NA WIDNOKRĘGU

Inicjatywa polska zwołania zjazdu-konferencji ministrów rolnictwa spotkała się z żywem zainteresowaniem wszędzie.

Różnie się do niej ustosunkowują różni zainteresowani, ale już sam fakt powstania tendencyjnych komentarzy i akcji przeciwdziałania wykazuje, że dyplomacja polska poruszyła sprawę żywotną.

Zaletą propozycji polskiej, wystosowanej do rolniczych państw bałkańskich i baltyckich jest jej pozytywność — to znaczy wysunięcie istotnego programu rolniczego na plan pierwszy, *na plan jedyny*.

Kryzys, jaki obecnie rolnictwo przechodzi na całym świecie musi wywoływać myśl o kontrakcji. Myśl ta musi być tem żywsza, tem bezpośredniejsza im wyłączniejszą rolę gra eksport rolny w bilansie poszczególnych państw.

Pewne usystematyzowanie produkcji rolnej, unormowanie eksportu, nie wchodzenie sobie w drogę, ograniczenie konkurencji i zapobieżenie dalszemu spadkowi cen — to są kwestje życia i śmierci dla organizmów rolniczych.

Projekt polski, szkicujący program podobny, może i powinien doprowadzić do konferencji, a ta konferencja do porozumienia z takiemi państwami jak: Rumunja, Jugosławja, Węgry, Estonja w pierwszym rzędzie. Ten pozytywny projekt można w pewnej mierze uważać jako regjonalny, gospodarczy, realny punkt odcinkowy — godzący się, a nawet dzięki swej realności, wyprzedzający wielki plan Brianda zapowiadający stany Europy, zbudowane przedewszystkiem na terenie gospodarczym.

Nie zamierzamy sprawy poniekąd specjalnej szerzej omawiać, notujemy jednak, iż rzeczowość propozycji polskiej stanowi jej wielki atut. Inicjatywa ta, w razie jej udania, musi prowadzić do polepszenia stosunków i zbliżenia państw wschodniopółnocnych — od morza Czarnego aż po daleki Bałtyk.

To zbliżenie na gruncie ekonomicznym, a więc najzdrowszym może objąć nawet państwa mające dziś jeszcze do siebie wzajemne pretensje. Jest więc to inicjatywa wybitnie gospodarcza i wybitnie pokojowa — odzwierciadla ona zdrowe ideje kierujące polską polityką zagraniczną. Uwypukla ona żywotność polskiej myśli politycznej — a więc wzmaga polskiego państwa autorytet.

* * *

Katastrofa kataklizmu jaki dotknął Włochy — w sercach całego narodu polskiego wywołała gorące, głębokie współczucie. Nasze serdeczne nie banalne odczuwanie żałoby narodu tak nam bliskiego, ubolewanie nad jego stratami i ofiarami nie ma w sobie konwencjonalnych gestów żałobników.

Zbyt głęboko mamy w sercu naród włoski, zbyt dawne są nasze sympatje i więzy przyjaźni, abyśmy obojętni byli na nieszczęście tego narodu.

Tysiące ofiar, kilometry zniszczenia oto obraz grozy, dochodzący do nas z ojczyzny Leonarda i Danta. Z kraju, gdzie piękno, słońce i wszystkie uśmiechy natury obrały sobie Ojczyznę — biegną do nas dziś wieści hjobowe, wieści grozy.

Wyciągamy dłonie ku dalekim, a tak bliskim sercu naszemu bliźnim, wysyłamy ku nim krzepiące słowa otuchy i przyjaźni. Tak, jak w dziejach szli bojownicy wolności z Polski do Włoch i z Włoch do Polski — tak dziś myśl serdeczną ku bratniemu narodowi w żałobie oraz nasze spółczucie i żal ślemy.

* * *

Do najaktualniejszych zagadnień międzynarodowego dnia należą dziś niewątpliwie rozruchy w Egipcie.

Naprężona sytuacja nad Nilem zdaje się trwać i nie słabnie.

Kryzys egipski przychodzi bezpośrednio po niezakończonym jeszcze kryzysie w Indjach. Aczkolwiek inna jest pozycja międzynarodowa tych krajów, inna ich siła i inne ustosunkowanie do Anglji — to jednak zarówno jeden jak i drugi kryzys mogą wywołać głębokie reperkusje w życiu W. Brytanji.

Nacjonalizm egipski przechodzi dziś okres najostrzejszy, ale nacjonalizm ten wypływa z pobudek szlachetnego patryjotyzmu i absolutnej chęci stanowienia o sobie jaknajniezależniej. Zatarg między królem Fuadem a wafkistami ma pozory wyłącznie konfliktu wewnętrznego, konstytucyjnego. Ale tak zupełnie to widocznie nie jest skoro część prasy angielskiej oskarża króla Fuada, dowodząc, iż sam on podstępnie podtrzymuje niesnaski, podsyca zatargi aby sprowokować Anglję do czynnej interwencji. A interwencji tej zarówno labourzyści jak i liberałowie boją się jak ognia. Już sam fakt konieczności wysłania dwuch angielskich opancerzonych krążowników na wody egipskie był dla rządu angielskiego przykrą koniecznością. Krążowniki te wysłane zostały wobec obowiązku, jaki posiada Anglja naskutek deklaracji swej z 1922 r. obowiązującej Anglję do obrony życia i mienia cudzoziemców, zamieszkałych w Egipcie. Obowiązek ten wzięty przez Anglję dobrowolnie, a niewątpliwie i celowo, w chwili obecnej stał się kulą u nogi. Anglja dziś za wszelką cenę pragnęłaby uniknąć interwencji i wtrącania się do zatargu wewnętrznego Egiptu. Czyni to z musu, gdyż półoficjalne demarsze innych państw w Londynie zmusiły ją do tego.

W obawie o swych obywateli zamieszkałych w Egipcie inne państwa, a przedewszystkiem Włochy *informowały się* o stanie bezpieczeństwa w Egipcie. Ta „informacja" włoska poszła tak daleko, że wyrażała gotowość wysłania własnych krążowników dla obrony życia i mienia obywateli włoskich.

To było dla Anglji niedopuszczalne, nie mogła się ona zrzec obowiązku protektoratu nad cudzoziemcami, którzy zapewne w chwili uchwalania był widziany jako przywilej angielski, a dziś dopiero stał się przykrą koniecznością. Nie mogła również zgodzić się, aby Włochy, szukające każdej możliwości do odegrania wybitniejszej roli na wybrzeżu afrykańskiem, skorzystały z tak nadarzającej się okazji. Było by to jednak posunięcie niezwykle zręczne i w razie zrealizowania mogłoby być porównane, acz w mniejszym stopniu, do posunięcia Cavoura w czasie wojny krymskiej.

Pojechały więc krążowniki angielskie nie aby interwenjować, ale aby „bronić" cudzoziemców. Trzeba przyznać, że pod tym względem rząd Mac - Donalda ma trudne życie. Wolnościowe ruchy Indji doprowadziły do konfliktów, a krew hinduska przelewana przez żołnierzy rządu labourzystów — wykazała dobitnie, jak hasła pięknych frazesów rewolucyjnych opozycjonistów przetapiane mogą być przez nich na ołowiane i śmiercionośne kule, z chwilą, gdy władza wytrąci im z rąk czerwony sztandar, kładąc miast niego pióro ministerjalne.

Z.

POLA ELIZEJSKIE

(Z WRAŻEŃ PARYSKICH)



Rys. H. Kędzierska

W Paryżu po Champs Elysees nie chodzą dusze wybitnych zmarłych ale przecinają je wzdłuż i wszerz razem z autami wysokie wąskie amerykanki. Ziemskie zjawiska, ale jakżesz piękne! — Piękność swoją noszą spokojnie i obojętnie jak ręczną torebkę. — Nikt się za niemi nie obejrzy, nikt nie ma na to czasu. Co innego w Metro, lub w autobusach: tam czas przysiada na chwilę razem z pasażerami i oczy męskie mogą spokojnie spocząć na oczach kobiecych. W Paryżu czas jest naprawdę pieniądzem, każda minuta równa się frankowi którego trzeba zarobić, albo wydać.

Paryski „spoglądacz", który w autobusie przez kilka stacji nie spuszczał z oczu jakiejś młodej kobiety, nigdy się tak nie zapamięta, żeby pojechać za interesującą damą o jedną ulicę dalej. Jego businness jest zawsze ważniejszy od problematycznej przygody miłosnej. Zresztą kobiet jest tyle w tem gigantycznem mieście, i jedna ładniejsza od drugiej. Każdy mężczyzna musi się tam czuć jak dziecko w sklepie z zabawkami. Rozsądek zastępuje w tym wypadku matkę dziecku, które chciałoby wziąć w ramiona najdroższą i najpiękniejszą lalę. — To za droga zabawka — mówi smarkaczowi mama — musisz sobie wybrać coś tańszego. — To samo mniej więcej mówi rozsądek panu, który w Café de la Paix usiądzie koło pięknej lali z najlepszej, najbielszej skóry, z oczami o sztywnych czarnych rzęsach do zamykania i otwierania, która jeszcze w dodatku chodzi i mówi. — Trudno kupić wszystkie paryskie lalki! Trzeba sobie wybrać jedną, i to nie bardzo drogą, będzie potem z człowiekiem chodzić na długich jedwabnych nóżkach i wesoło świergotać jak oswojony ptaszek. Kobiety paryskie grzeczne są i miłe dla mężczyzn, jak gejsze, można to zaobserwować w sklepach. Do kupowania powinna każda pani wziąć ze sobą jakiegokolwiek pana. Można wtedy z łatwością przewrócić cały sklep do góry nogami, i nic nie kupić.

Dużo się mówi o kulcie Francuzów dla kobiet, ale o ileż większy jest kult Francuzek dla elementu męskiego! Wysiłek biednych panien sklepowych, żeby być uprzejmym dla klientki, nie urozmaiconej żadnym panem, jest nadludzki, przeciwny całej ich naturze. Kobiet nie znoszą, w każdej z nich siedzi mała terorystka, któraby bogatą, piękną damę, przychodzącą zamęczać je żądaniem takich, a nie innych rękawiczek, lub bucików z radością zaprowadziła na szafot. Ze strachu przed temi małemi stworzeniami o złych czarnych oczach, kupuje się nieraz coś całkiem niepotrzebnego, albo o wiele za dużego. Jeśli się nie ma w Paryżu własnego pana do chodzenia po sklepach i ulicach, to trzeba mieć przynajmniej dziecko. Jak djabeł przed chrzczonem dziecięciem, który czmychnął z przed oczu Panu Twardowskiemu, gdy on chytry szlachcic schwycił za takowe, tak Paryż usuwa się pokornie przed każdem dzieckiem. Przed jednym bębnem, który dumny jak conajmniej Delfin, przejeżdża w swoim wózku przez najruchliwszą Avenue, zatrzymuje policjant cały sznur automobili. Nawet panny sklepowe, te prakobiety, miękną a czarne ich oczy momentalnie posypują się cukrem na widok każdego bachora. Ale trzeba też widzieć, te dzieci francuskie, tych małych panujących w swoich wózkach. Ubrane wyszukanie, i inteligentnie, siedzą grzeczne, milczące, wyprostowane, rozumiejąc swoją rolę bóstw. Krzyczącego smarkacza trzepanego przez matkę - stróżkę, jak dywan, publicznie (obraz częsty w naszym kraju) nie zobaczy się w Paryżu. Dzieci francuskie są tak samo dobrze wychowane i bezgłośne — jak paryskie psy. Rasowy pies stanowi uzupełnienie ubrania każdej naprawdę eleganckiej paryżanki. Psy te milczą, jak zabawki i poruszane naturalnym mechanizmem, suną ze swoją panią, bez żadnych grymasów i psich figlów. W restauracji siedzą na krzesłach i ze spokojem porcelanowego pieska patrzą się, jak się ich państwo odkarmiają z ferworem. Żadnych skomleń, żadnych kładzeń proszącej łapy na kolanach biesiadników, żadnych skakań do oczu. Właściciele rasowego psa na pozór nie zwracają na niego najmniejszej uwagi. Żaden z Polaków nie wytrzymałby, mając naprzeciwko siebie podczas obiadu taką rasową pokrakę, żeby jej nie zaczepiać, nie głaskać, lub nie drażnić. Czasem tylko ciepły kochający wzrok właściciela psa muśnie jego przezacny pysk, lub spocznie z rozmiłowa-

niem na jego dobrą rasą wykrzywionych łapach.

Francuzi, jak chyba żaden naród na świecie, rozumieją sugestywną wartość nazwy. Każdy sklep fascynuje przechodnia szyldem. Żaden prawie sklep nie nazywa się zwyczajnie, po ludzku, nazwiskiem prawdziwem właściciela, tak, jak u nas. Jakiż specjalny obraz może wywołać w naszych mózgach nazwa: Fijałek i Turek, Zdanowicz albo Cypes? Kiedyś ktoś zaproponował jednemu fryzjerowi w Krakowie, który zastanawiał się nad szyldem dla swojego nowo założonego zakładu fryzjerskiego, żeby go nazwał „Warkoczem Bereniki". — Co za piękna i kusząca nazwa! i co za szalone powodzenie miałby zakład fryzjerski o takim szyldzie.

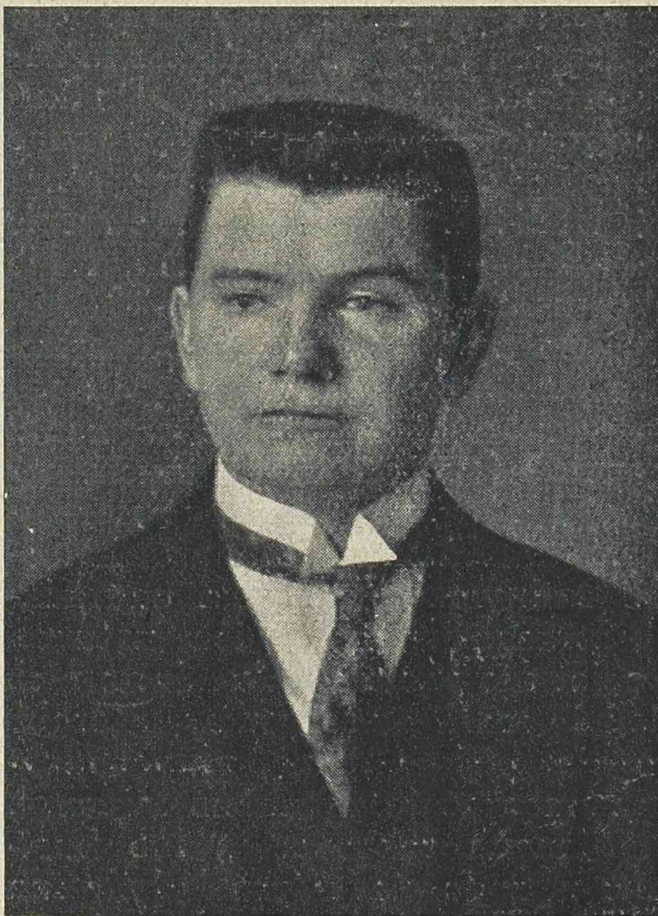
— Co? — odparł przemądrzały balwierz — Warkocz Weroniki? — eee... to na nic. — Nazwę mój zakład „Stella del Mare", albo poprostu „Stanisław".

Wszystkie nazwy fabrykantów perfum przez tajemniczy dobór liter, robią już same wrażenie zapachów. Oto: *Arys, Lentheric, Corysse, Lubin* (słodki jak słowo lubię), *Caron* (jakże ciemny i poważny jest zapach tego słowa)! A *Guerlain?* czy nie przypomina w doborze liter girlandy kwiatów? — A *Cedib?* — czy nie zamknięte w tym słowie wszystkie wonie Wschodu? — O genjalni naciągacze paryscy... Sugestywny podróżnik nie oprze się cukierni, która nazywa się *„A la marquise de Sévigné"* i pływalni, która zwie się *Lido*, a która kosztuje trzy razy drożej, niż każda inna, i napewno będzie wolał wstąpić do sklepu z zabawkami, który nazywa się *Fairyland* (Kraj Czarów) niż do każdego innego o zwyczajnej nazwie. A pończochy? — czy to nie rozkosz mieć na sobie coś, co się tak ślicznie wymawia, jak *Lys, Lynes* i *Gui?* Pończochy marki *Lafayetta* są napewno równie dobre, ale każda porządna snobka, woli kupić coś, co jak bas *Lys*, przypomina lilję a z nią wszystkich Burbonów. Jeden z większych szewców paryskich nazywa się tak, jak amant *Damy Kameljowej*, Dumasa — *Armand*, chociaż w życiu prywatnem może właśnie dziwnym zbiegiem okoliczności, zwał się Benjamin Pieds. Bogatą ładną damę może ubrać pan, który nazywa się *Molyneux*. Czy to słowo nie narzuca obrazu miękkiego, aksamitnego płaszcza z ogromnym kołnierzem futrzanym? — Inna znów naciągaczka nazwała swój handelek pięknemi skórzanemi przedmiotami — *Roxane*. Trudno przypuścić żeby ta prawdopodobnie poczciwa handlarka z oczkami jak dwa świecące pieniążki, była przez swoją matkę, taką samą pewnie przekupkę, nazwana na chrzcie świętym, imieniem ukochanej Cyrana de Bergerac — *Rose Valois*, jaka to świetna nazwa dla kapeluszniczki! Odrazu w mózgu wytwarza się obraz beretu jakie noszono za czasów Walezjuszów, tylko z różowego aksamitu. — Francuzi otrzaskani od małego z językiem swego kraju nie czują pewnie tak, jak my cudzoziemcy, uroku tych wszystkich słów, ale przecież właśnie o to chodzi, Francuz ma żyć oszczędnie, przejeżdżać pod temi wszystkiemi cudami ponurem, ślepem Metro, a te wszystkie djabelskie sztuczki są wymyślone dla nas, żeby nas otumanić, oczarować i wyzuć z pieniędzy w sposób najelegantszy i najbardziej wyrafinowany.

Paryż. *M. Samozwaniec*

Zmienne koleje losu

Na widnokręgu litewskim znikła jedna figurka — znikł sławetny p. Waldemaras. Człowiek, który z wrogości wobec Polski wykuł sobie i państwu program polityczny, został uznany obecnie „za niebezpiecznego dla państwa", zesłany do Kretyngi.



PROF. WALDEMARAS

Waldemaras był tym, który z każdego drobiazgu czynił widły z któremi rzucał się na Polskę, jak zły gnom, specjalizując się w kalumnjach na rynku międzynarodowym. Niszczył on tradycję przyjaźni polsko-litewskiej. Wysilał się i wytężał do podniecania waśni, siał ziarna nienawiści wśród swych obywateli do wszystkiego co polskie.

Mimo jego upadku Litwa jeszcze nie dojrzała dziś do zrozumienia konieczności porozumienia z Polską — ale czas już na to, czas nagli, czas woła, a interes zobopólny nakazuje równie silnie, jak serce.

Z.

CO CZYTAĆ?

STAROŻYTNOŚĆ BAJECZNA, GLOSSY O LUDZIACH I IDEACH, Z PRZEŻYĆ I WRAŻEŃ WIEŚNIAKA

Uniwersytet paryski przyznał prof. dr. Tadeuszowi Zielińskiemu tytuł doktora honoris causa. Do zaszczytnych wyróżnień Oksfordu, Aten, Groningen, Krakowa, Lwowa i Warszawy w roku jubileuszowym pięćdziesięciolecia pracy na polu filologji przybył naszemu uczonemu jeszcze jeden tytuł, stwierdzający międzynarodowe uznanie dla jego wiedzy, zasług i talentu. Prof. Zieliński jest członkiem wielu uczonych Akademji. Prace jego były tłomaczone na liczne języki. Monografja o Sofoklesie, studjum o Ciceronie, „Historja kultury antycznej" stanowią podstawy współczesnej wiedzy filologicznej o Grecji i Rzymie.

Prof. dr. T. Zieliński do 1922 r. był profesorem uniwersytetu petersburskiego. Temu trzeba przypisać, że wiele jego książek trzeba dopiero tłomaczyć na język ojczysty. W roku jubileuszowym otrzymaliśmy właśnie przekład jego świetnej pracy pt. „Świat antyczny. Starożytność bajeczna". Tłomaczenia dokonały pp. dr. G. Piankówna i J. Wielczyńska.

Piękna ta książka wprowadza nas w dzieje Kadmosa i Kadmidów, Perseusza, Argonautów, Heraklesa, Labdakidów, Aten, wojny trojańskiej. Zamyka zaś „Koniec królestwa baśni", śmierć Odyssa. Nadmienić należy, iż „starożytność bajeczna" nie jest wykładem filologicznym, lecz opowieścią poetycką uczonego, którego stać na barwy, polot i dramatyczność ekspresji. Wystarczy przeczytać powieść o Chimerze, by zapomnieć o wszystkich szkolnych udrękach i odnaleźć w legendach greckich żywą, emocjonalną treść.

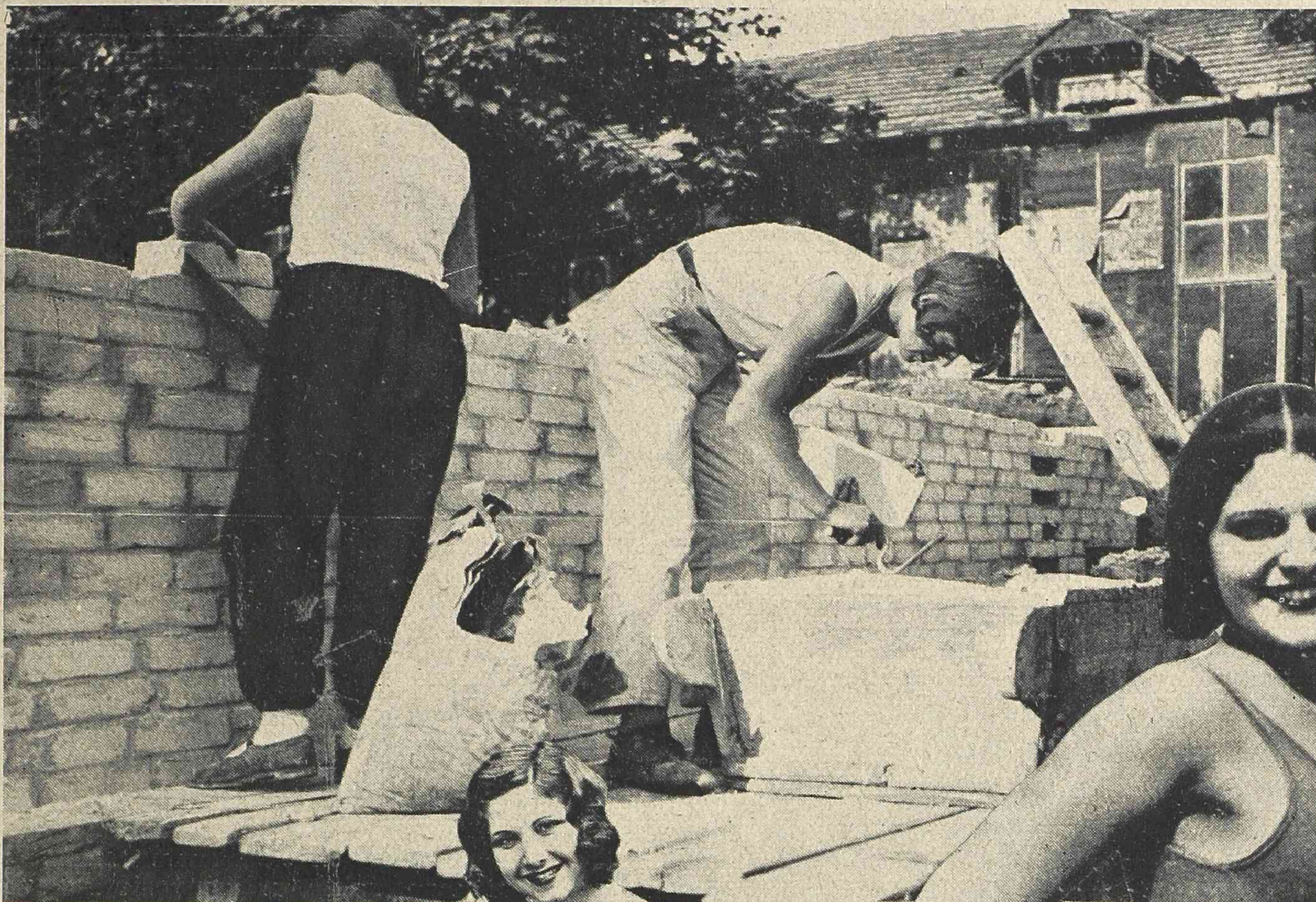
„Glossy o ludziach i ideach" Artura Górskiego mówią o nieustającej trosce tego pisarza o poziom życia duchowego w Polsce. Troska ta przejawia się w czterdziestu blizko artykułach, rozprawach powstałych przygodnie, a obecnie zebranych w jedną, pojemną księgę. Praca pt. „O służeniu prawdzie" otwiera tę księgę, pełną refleksji niezawsze pogodnych. Artur Górski mniema, iż „o życiu decyduje poziom dnia; a nasze dziennikarstwo, nasza polityka, nasza krytyka i literatura bieżąca, niewiele mają z temi kanonami wspólnego". Mamy jednak wśród siebie ludzi, dźwigających brzemię odpowiedzialności. Mówi nam o nich również Artur Górski. Są to ci, którzy dali „pocałunek trędowatemu".

„Glossy o ludziach i ideach" należą do rzadkich u nas pism o polocie moralnym. Artur Górski posiada zresztą oddane sobie koło wielbicieli: każda jego praca witana jest wśród nich, jak zapowiedź lepszych czasów.

Rzeczywistość, przesłonięta ideologją, często zmija się z teorjami. Kto jednak lubi realizm, znajdzie go pod dostatkiem w ciekawej księdze pt. „Z przeżyć i wrażeń wieśniaka (1855—1911)". Z listów rodzinnych książkę tą opracował Stanisław Karpiński (b. minister skarbu?) Księga ta w przyszłości stać się może interesującem źródłem informacji o życiu warstw społecznych, związanych tradycją i pracą z ziemiaństwem, odbudowujących swoje rodzinne splendory z pocztucia realizmu i mądrej troski. Żywotność szlachecka mówi tu rzeczy niespodziewane dla teoretyków, którzy tej warstwie ludzi dawno już odśpiewali requiem. W listach tych odzwierciadla się obraz rodziny szlacheckiej, jako ważnej i poważnej socjalnie komórki naszego istnienia społecznego i narodowego. Listy te zasługują na szeroką poczytność i głębszą refleksję.

E. C.





Kobiety-murarki w Berlinie, pracują jako robotnice związkowe



Fot. The New-York Times

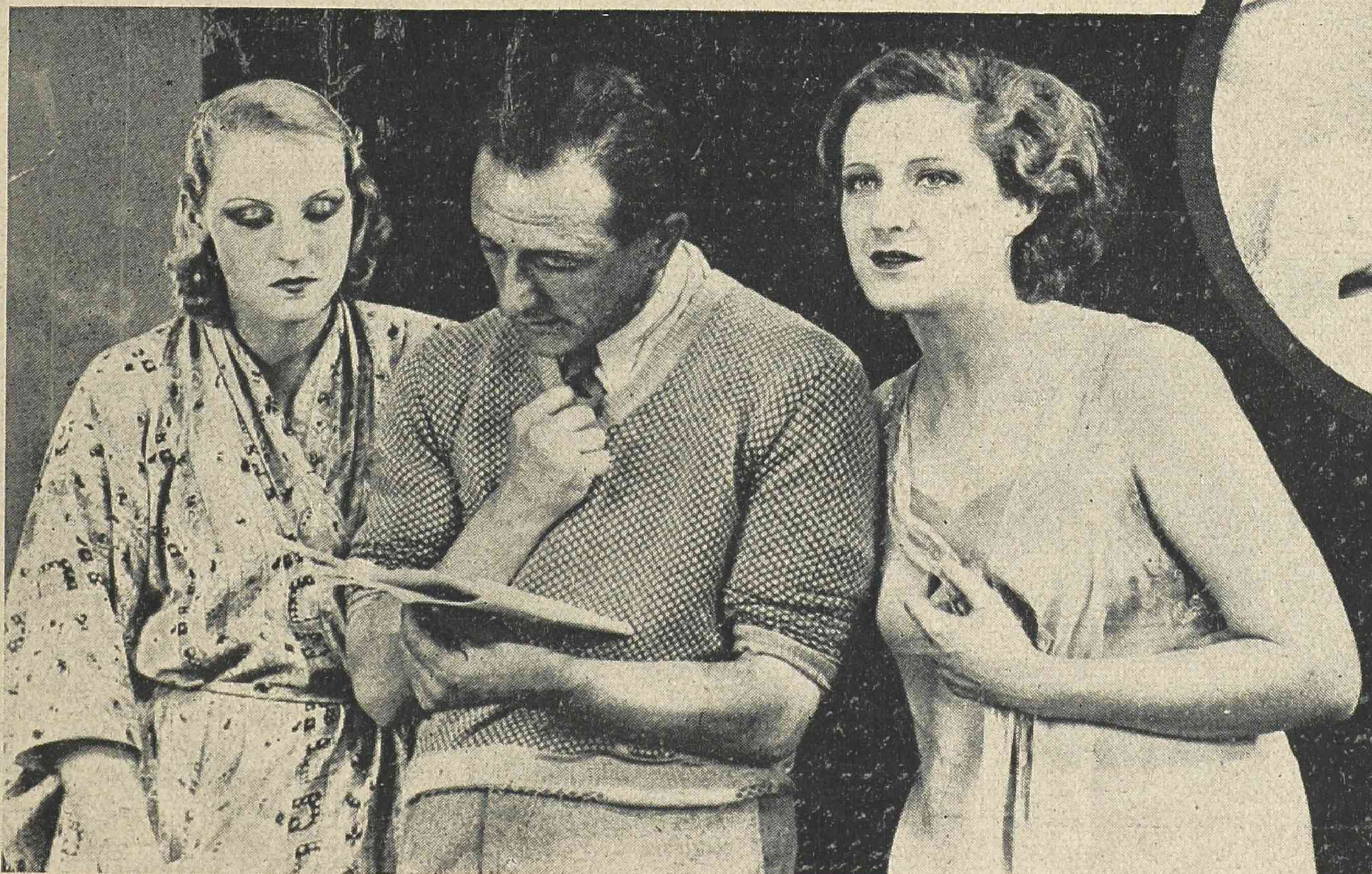
Miss Havanna na 1930 rok p. Mercedes Perdomo



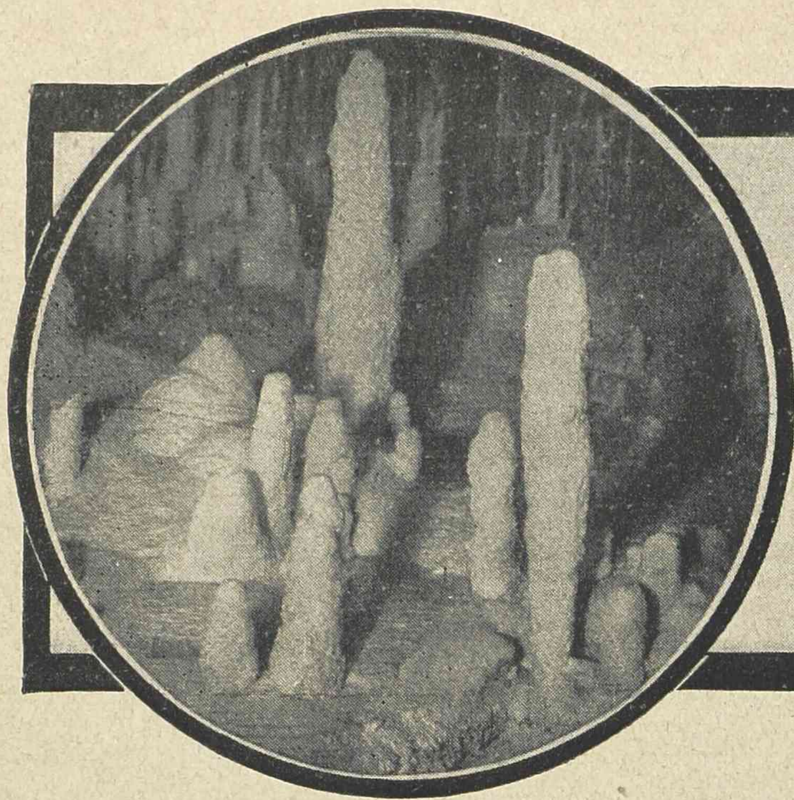
Miss Broodway na 1930 rok, aktorka kabaretowa Violat Carson



„Baby" zdobywcy Atlantyku Karola Lindbergha



Brygida Helm, znana gwiazda filmowa kobieta-wampir w Londynie nakręca nowy film z Betty Stockfield pod kierownictwem reżysera Carmine Gallone



MORAWSKI KRAS

Parę godzin jazdy koleją od Pragi, tuż pod Bernem Morawskiem znajduje się mała stacyjka kolejowa — Blansko. Przystanek raczej, gdyż mało który pociąg pośpieszny tutaj staje. Natomiast częstym gościem są tu pociągi specjalne. 300 — 400 osób wysiada, pociąg odciąga się na bocznicę, aby wieczorem postawić go na głównym torze, napełnić sytymi wrażeń turystami i odwieźć z powrotem do Pragi, Ołomuńca, Bratisławy... Jest to bowiem punkt wyjścia do zwiedzania „Morawskiego Krasu", pełnego tajemnic labiryntu grot wapiennicowych, zagadkowych stalaktyków, stalagmitów i stalagnatów.

Cały olbrzymi szmat ziemi podmyty, podkopany, wydrążony i pocięty przez siłę wodną. Oto np. drobna rzeczułka — Punkva — w przeciągu niezliczonej ilości lat stworzyła panoramę iście bajkową. Wjeżdżamy łódeczką w rozwartą paszczę gardzieli górskiej. Strumyczek rozszerza się, i zwęża, z trzech metrów rozrasta się do dziesięciu i znowu kurczy do dwuch. Natomiast głębokość koryta napawa nas już pewnym szacunkiem: 23, 29, 36 metrów! Nad sobą mamy dziewięćdziesięciometrowy płat ziemi. Raj dla pstrągów, które stadkami uwijają się przed bramą wejściową do zaczarowanego królestwa, a co odważniejsze, zapuszczają się daleko wgłąb. Nie ta rzeczułka jednak jest atrakcją dla turystów. Jest ona raczej arterją komunikacyjną. Jej praca wprawdzie wydrążyła groty i korytarze, ale praca znacznie drobniejszej jej części — kropli wody — ozdobiła je.

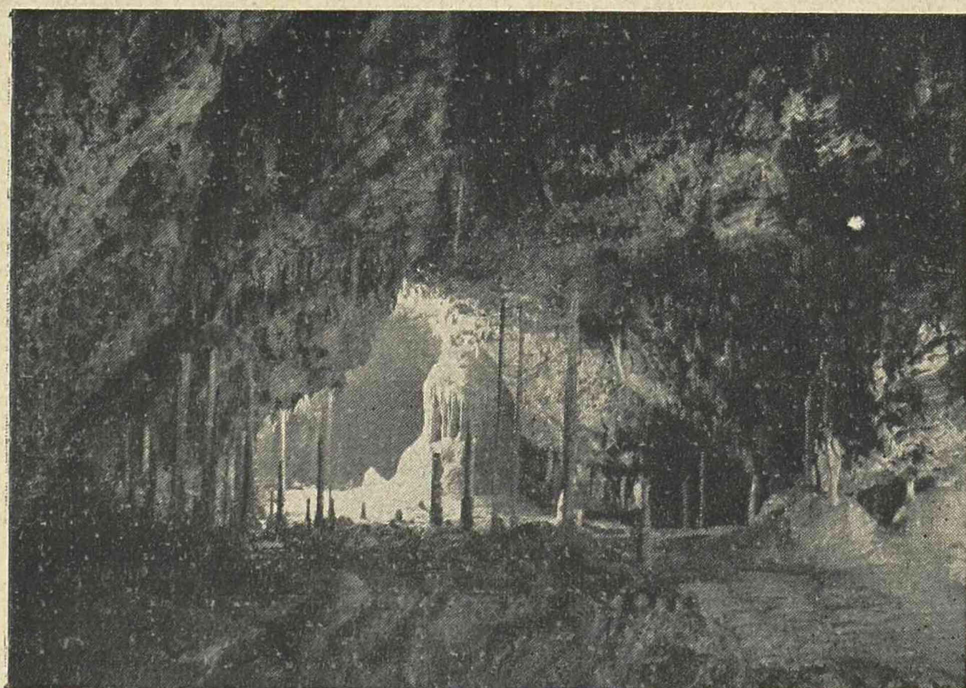
Tysiące drobnych kropelek od setek tysięcy, a może i miljonów lat spadające z zaciętym uporem dokładnie na to samo miejsce, stworzyły scenerję niezrównaną, widowisko niebywałe. Kamienny las podziemny. Przytem las dwustronny. Smukłemu igliwiu, zwisającemu ze stropów i ścian odpowiada znacznie potężniejszy, pomarszczony i sfałdowany, jakby spuchnięty, rosnący od dołu ku górze las stalagmitów. Kropla spada na to samo miejsce od niezliczonych lat. I każda pozostawia po sobie, niewidoczny nawet pod mikroskopem pyłek. W ciągu piętnastu lat taki wapieniec narasta o jeden milimetr sześcienny. A jest tu olbrzym, który rośnie już od pięciu z górą miljonów lat. Ma kilka metrów wysokości i kilkanaście obwodu u podstawy.

Na górze ziemia przechodziła rozmaite koleje. Spłynął stopiony przez słońce lód. Zakiełkowało życie organiczne. Zaroiła się ziemia od potworów dyluwjalnych i niedźwiedzi jaskiniowych. Powoli wytworzyły się wyższe formy organiczne. Zjawił się człowiek. Zaczął walczyć z naturą, następnie prowadził wojny z podobnemi do siebie istotami. Cywilizował się, zaczął budować domy, uprawiać ziemię, pisać książki. Tworzył historję, tę, której uczymy się w szkołach. A pod ziemią, o kilkadziesiąt metrów niżej, pogrążona w stałej ciemności kropla wody pisała własną historję. I tu przeżywano kataklizmy dziejowe. Są one w grotach zapisane. Oto np. zawalił się strop. Wszystkie stalaktyty i stalagmity uległy zniszczeniu. Jeden tylko, ukryty pod zaczepionym między dwoma zwałami skał kamieniem zachował się i świadczy, że było ich tu więcej. Życie idzie jednak naprzód. A węc narastają nowe, jeszcze drobne, jeszcze ledwie dostrzegalne. Za jakichś marnych parę dziesiątków tysięcy lat będzie z tego nowa piękna grota.

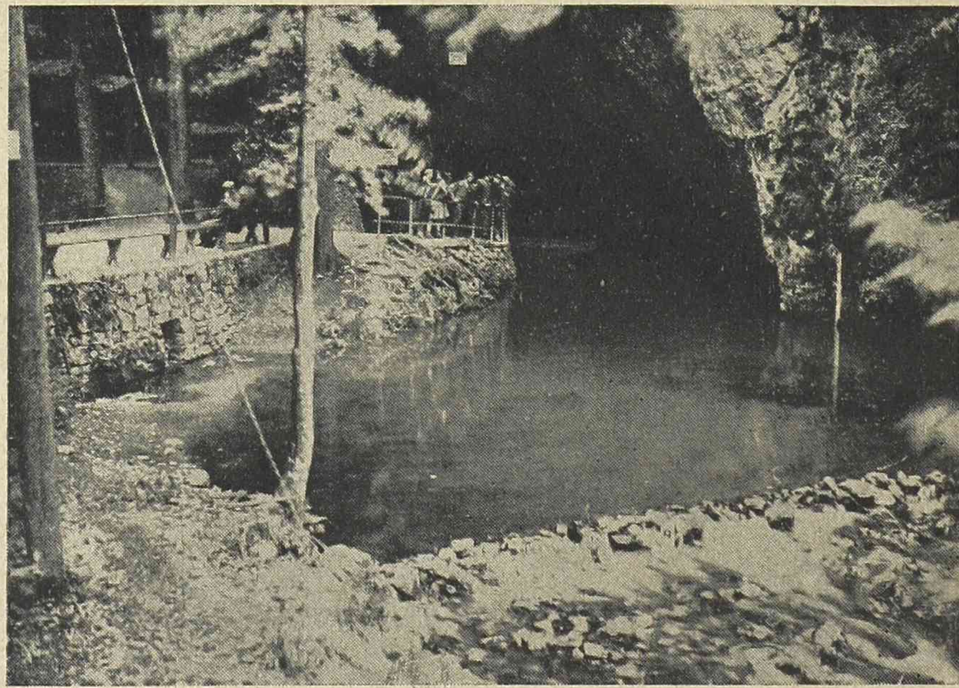
Najpiękniejsza grota to t. zw. „Masarykův Dom". Oświetlony silnemi żarówkami, tworzy widok niezapomniany. Co za rozmaitość form! Piękne, przezroczyste o różowem odcieniu „firanki", śnieżno białe „wodopady", „cmentarze", pokryte krzyżami i pomnikami, rozmaite zwierzęta, całe sceny rodzajowe. W innych jaskiniach (a jest ich cały szereg) inne cuda. Podziemne, minjaturowe jeziorko skalne. Jak scena teatru marjonetek. Pośrodku jeziorka dziecko. Kąpie się. A na brzegu zatroskana matka. Dziecko, jak to dziecko! nie chce wyjść z wody. Matka w strachu, boć woda ma zaledwie 6 i ½ stopnia ciepła. Może się zaziębić. Ale oto naszą uwagę odrywa olbrzymia postać czarownicy. Jedzie na miotle, przy nosie trzyma chustkę. Jest widocznie zakatarzona. Na prawo w ścianie skamieniałe resztki życia przeddyluwjalnego. Kość z nogi niedźwiedzia, kawałek łopatki, sporządzonej ręką naszego praszczura...

Wszystko się mieni kolorami tęczy. Różowy, błękitny, zielonkawy, biały, jak śnieg, lub wręcz purpurowy. I tak całemi kilometrami. W jednej jaskini musimy przebrnąć przez 720 schodków. W górę i na dół, w górę i na dół. Pomimo dotkliwego zimna i wilgoci, turyści wychodzą spoceni. Pod grotami o kilkaset metrów niżej podejrzewają istnienie dalszego piętra. Wskazują na to niektóre szczeliny. Spoglądamy w dół. Czarna przepaść. Rzucamy kamień i liczymy. Jeden, dwa, trzy, cztery, dziesięć, dwanaście. Spadł na dno. Ileż to metrów!

Niezmiernie popularną jest przepaść Macocha. Była to kiedyś grota stalaktytowa. Sufit się zawalił, otwierając słońcu dostęp do dna. Natychmiast podstawa się zazieleniła, ludzie przekopali przejścia, obecnie spacerujemy po dnie zupełnie



WSZYSTKO SIĘ MIENI KOLORAMI TĘCZY



BRZEGI RZECZUŁKI PUNKVY

wygodnie. Dawniej dno było dostępne tylko dla samobójców, którzy i teraz chętnie korzystają z tego sposobu pożegnania się ze światem. Stojąc na górnym mostku, mając pod sobą stokilkadziesiąt metrów powietrza i widok na ludzkie mrówki, rozglądające się na dole po okolicy, nie dziwimy się im wcale. Przepaść ciągnie i trzeba wiele siły woli, aby temu wołaniu nie ulec.

Profesor Absolon, który większość grot i jaskiń odkrył i eksploatację ich postawił na podstawach handlowych, prowadzi stale niezmordowanie dalsze poszukiwania. Przytem nie zaniedbuje urządzania jaskiń wewnątrz. Oświetlił je, przekopał przejścia, porobił schodki, wybudował wspaniałą serpentynową szosę. Podniósł ekonomicznie kraj cały. Skarżą się niektórzy, że zepsuł wspaniałą dolinę, którą dawniej szło się piechotą od dworca, aby z góry spojrzeć na Macochę. Cóż to znaczy jednak wobec tego, co pokazał. Takich dolinek jest w Europie bez liku. Takich grot, jakiemi chlubi się „Morawski Kras" jest w Europie tak mało! Po rozkopaniu dalszych, (a projektów jest tyle!), okolica ta nie będzie miała wogóle konkurencji.

Parę godzin, spędzonych pod powierzchnią ziemi morawskiej wrywa się w pamięć i pozostawia niezapomniane wrażenia!

Władysław Mergel

Praga.

A PROPOS „INTERESU PRZEDEWSZYSTKIEM"

Do robienia interesów potrzeba przedewszystkiem... czego?

Jestem przekonany, że większość moich znajomych odpowie:

— Pieniędzy.

— Specjalnego talentu.

Istotnie, bez specjalnego talentu i bez kapitału, trudno jest robić interesy. Ale na przedstawieniu znanej sztuki Oktawjusza Mirbeau, uświadomiłem sobie z większą, niż kiedykolwiek jasnością, że chociaż ważny jest w interesie pieniądz i conajmniej równie są ważne zdolności, najważniejsze jest tu coś innego, najważniejsze i niezbędne: wola. Wola robienia interesów. Do robienia interesów przedewszystkiem trzeba mieć wolę, trzeba mieć namiętność robienia interesów. Czyli, jak we wszystkich niemal sprawach życia i tutaj się spotykamy, jako z czynnikiem decydującym, z charakterem. Małe zdolności specjalne i małe pieniądze w połączeniu z dużą wolą dają większe rezultaty w robieniu interesów, niż duże zdolności, duże pieniądze i letnia wola. W robieniu interesów trzeba chcieć. Dlatego takie mnóstwo inteligentnych ludzi robi kiepskie interesy. Bo, w dziewięciu wypadkach na dziesięć, dobry interes od lichego interesu różni się tylko uporem, z jakim był przeprowadzany. O wartości interesu decyduje charakter aferzysty. Najlepszy interes, przeprowadzony bez należytej energji, bez należytego natężenia, przeistacza się w katastrofę. Ludziom nawet nieprzeciętnie inteligentnym może się koncepcja jakiegoś interesu do zrobienia wydawać chybiona, ponieważ nie umieją, nie są w stanie na nią spojrzeć poprzez niezbędną tu ilość woli wykonawczej, gdy aferzysta, prawdziwy człowiek interesu, mierzy nasuwający mu się interes przedewszystkiem tajemnym zmysłem swej woli, poczuciem nieopochwytnej muskulatury swojej woli. Jest to zasadniczo inny rodzaj widzenia rzeczy, stąd tyle nieporozumień między urodzonymi ludźmi interesu i ludźmi tylko inteligentnymi. Człowiekowi tylko inteligentnemu niejeden projekt interesu urodzonego aferzysty wydaje się fantazją, czemś nierealnem, i potem, gdy człowiek interesu projekt swój zrealizował, człowiek tylko inteligentny dziwi się i rozkłada ręce. Z pewną przesadą możnaby powiedzieć, że niema złych interesów, bywają jedynie marni ludzie interesu.



KAZIMIERZ JUNOSZA-STĘPOWSKI
JAKO LECHAT

Oktawjusz Mirbeau w swej sławnej komedji wywiódł w blask rampy niepospolitą bestję interesu. Lechat, czy jak się tam nazywa centralny bohater wybornych trzech aktów wznowionych obecnie w Teatrze Narodowym dla p. Kazimierza Junoszy - Stępowskiego, to bokser, to szampion bokserstwa w robieniu milionów. Napotkany interes chwyta potężna łapą i wyciska go, jak cytrynę, ku podziwowi i nawet ku grozie patrzących. A że kilka kropli soku cytrynowego tryśnie przy tej sposobności komu w oko i boleśnie tego i owego oślepi, może nawet na zawsze, to głupstwo. Wszyscy naokoło są zdumieni, że w cytrynie tak niepozornej tyle było soku, bo nie wiedzą, że ta sama cytryna interesu ma rozmaitą ilość soku, zależnie od tego, kto ją wyciska. W Lechat gotuje się wola robienia interesów, jak lawa w wulkanie. Chciał Oktawjusz Mirbeau zdemaskować obrzydliwość kapitalizmu, albo raczej obrzydliwość twórców kapitalizmu, psychologji kapitalistów, a postawił nas przed elementem, przed żywiołem, przed siłą, która przedewszystkiem nas hipnotyzuje, wprawia w podziw i onieśmiela, jak huargan. Tak wygląda żywy motor, gromadzący bogactwa. Nie jest on moralny, ale jest tak potężny, że moralność przy nim milknie, jak milknie wstyd, kiedy powódź wtargnie do wioski i znosi budynki i porywa ludzi. Zasady się gną i dumie kark mięknie, kiedy je podmywa ciężki strumień złota.

Junosza-Stępowski, artysta prawdziwie znakomity, na pierwszem przedstawieniu grał Lechat może niezbyt, jak to się mówi, równo, ale podstawowe elementy roli, brutalność, okrucieństwo i ten wewnętrzny ogień wiecznie czujnego aferzysty, tę nieustającą wolę robienia interesów, uwydatnił z artyzmem niepowszednim. Śród swoich partnerów wyglądał tak, jakby grał gościnnie w prowincjonalnym teatrze z artystami, którzy się nigdy nie dostaną na warszawską scenę.

Wacław Grubiński

Z OPERY POZNAŃSKIEJ



Aleksandra Szafrańska, pierwsza mezzosopranistka opery poznańskiej — śpiewała z dużym sukcesem rolę tytułową opery „Samson i Dalila" Saint Saensa

Zły środek leczniczy, czy kiepscy lekarze?

Szczepionka przeciwgruźlicza D-ra Calmette'a

Około 40 zmarłych dzieci i tyleż ciężko chorych, którym wciąż jeszcze śmierć zagraża — oto rezultat zastosowania w Lubece szczepionek przeciwgruźliczych Dra Calmette'a, sprowadzonych z instytutu Pasteura w Paryżu. Wiadomości z Lubeki wywołały wstrząsające wrażenie na całym świecie. Oto środek, który miał być narzędziem ratunku dla ludzkości, okazał się narzędziem śmierci. I w kołach uczonych i w kołach laików zawrzały gwałtowne dyskusje, czy istotnie sam środek był szkodliwy, czy też winę ponoszą jedynie lekarze lubeccy, którzy z karygodną lekkomyślnością zastosowali go w niewłaściwy sposób, a potem świadomie usiłowali przerzucić całą odpowiedzialność na francuskiego uczonego. Opinja publiczna przechyla się coraz bardziej na stronę Dra Calmette'a i słusznie, ponieważ kilkoletnie stosowanie jego szczepionki „B. C. G." we Francji i gdzieindziej, a nawet w Berlinie, nigdy nie dawało ujemnych wyników, a przecież przyczyniło się niezwykle wybitnie do zmniejszenia śmiertelności z gruźlicy wśród niemowląt.



IL. PROF. CALMETTE, TWÓRCA SZCZEPIONKI „B. C. G."

Zanim sądy i areopag uczonych ostatecznie wydadzą swój wyrok, warto zapoznać się z genezą i istotą wynalazku francuskiego profesora.

Wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu, gruźlica nie jest chorobą dziedziczną, jest tylko zaraźliwą. Dzieci gruźlików przychodzą na świat zdrowe, a jedynie z silną skłonnością do tej choroby. Ale ponieważ rodzą się w chorem środowisku, więc zarażenie się gruźlicą, zwłaszcza w pierwszym okresie życia, bywa bardzo częste. Zależnie od warunków bytu choroba rozwija się szybciej lub wolniej; może być, oczywiście, zahamowana w rozwoju, lecz uleczyć się nie da. Lasecznik Kocha, wydzielony w 1884 r., opanowuje wszystkie organy, głównie oddechowe, wywołując rozkład tkanek.

Niepowodzenia w leczeniu gruźlicy skłoniły medycynę do stosowania zamiast terapji klasycznej nowszych metod uodporniających: seroterapji, tuberkulinoterapji i szczepień ochronnych. Seroterapja polega na zaszczepieniu zarazka lub toksyny zwierzęciu, a potem, gdy przetworzą się organicznie w niweczniki (antyciała), na zastrzyknięciu ich ludziom w postaci surowicy. Metoda ta działa uodporniająco i daje w wielu chorobach doskonałe wyniki; niestety, przy gruźlicy okazała się bezskuteczna. Tuberkulinoterapja jest to wprowadzanie wprost do organizmu ludzkiego prątków, wytwarzających niweczniki. Przy gruźlicy dała ona wyniki raczej ujemne. Szczepienia ochronne, polegające na wprowadzeniu do organizmu zarazka osłabionego, miało być również środkiem zapobiegawczym. Doświadczenia wykazały jednak, że w razie rozwiniętej już gruźlicy szczepienie żywych, nawet osłabionych laseczników było zbyt niebezpieczne i najczęściej pogarszało stan chorego, zaszczepienie zaś zarazków zabitych nie dawało pożądanych wyników.

Nową metodę uodporniania organizmu przeciw gruźlicy obmyślił i wprowadził w życie głośny lekarz paryski Dr. Calmette. Badając wpływ prątków na ustrój zwierzęcy, uczony doszedł do wniosku, że zdrowe zwierzę, które spożyje pewną ilość jadowitych bakcyli, zapada na gruźlicę płuc lub gruczołów, lub obie razem, choruje przez parę miesięcy, lecz dość łatwo może wyzdrowieć. Wyleczone jest przez pewien czas odporne na działanie toksyny, wprowadzonej do organizmu nawet w większych ilościach. Opierając się na szeregu szczegółowych obserwacji, Dr. Calmette nabrał przekonania, że, ponieważ gruźlica jest chorobą głównie systemu limfatycznego, więc odporność na zarażenie da się uzyskać przez przesycenie systemu limfatycznego dziecka—bakcylami tuberkulicznemi żyjącemi, lecz pozbawionemi jadowitości, i to w okresie możliwie najkrótszym po urodzeniu. Natomiast szczepienie nawet minimalnych ilości prątków o normalnej lub osłabionej jadowitości okazywało się niemal zawsze groźne dla zdrowia.

Dr. Calmette dążył zatem do uzyskania bakcyli pozbawionych jadu, do stworzenia rasy, która mogłaby służyć jako szczepionka i której właściwości nie zmieniały by się przez dziedziczenie. Dalsze próby wykazały, że specjalnie wychodowaną szczepionkę można wprowadzać także dożylnie do organizmu. Szczepionkę uzyskano przez kulturę bakcyla, wydzielonego z wymienia tuberkulicznej krowy, a wychodowanego na kartoflu, gotowanym w żółci wołowej z domieszką gliceryny. Rozmnażany w tem samem środowisku celem wywołania zmian dziedzicznych w budowie fizyko - chemicznej, bakcyl po 4-roletniej kulturze okazał się nieszkodliwy dla krów, natomiast u innych zwierząt wywoływa objawy chorobowe. Dalsza hodowla, trwająca jeszcze szereg lat, miała na celu jeszcze dalsze osłabienie jadowitości i utrwalenie niezmiennej rasy.

Po wyhodowaniu 230 kultur stwierdzono, że uzyskany tą drogą bakcyl, wstrzykiwany w znacznych dawkach morskim świnkom i królikom, nietylko nie wywołuje choroby, lecz stanowi świetny środek zapobiegawczy, wytwarzający w organiźmie zwierząt wielką ilość niweczników. Bakcyl, nazwany „B. C. G.", okazał się zupełnie nieszkodliwym, a wprowadzony przez przewód pokarmowy, bądź dożylnie lub podskórnie, działał uodporniająco.

Wówczas dopiero zaczęto stosować nowy środek u noworodków, u których w ciągu kilku dni po urodzeniu prątki gruźliczne najłatwiej przechodzą przez ścianki jelit.

Podług ankiety, przeprowadzonej przez instytut Pasteura, śmiertelność z powodu gruźlicy u dzieci rodziców chorych na gruźlicę lub przebywających w zarażonem środowisku w pierwszym roku życia przekraczała 24%, w drugim roku i połowie trzeciego spadała do 1,66%. Najmniej odpornym na zarażenie jest organizm dziecka od chwili urodzenia do 8-go miesiąca i w czasie od 12 — 15 miesiąca życia. Po tym okresie, aż do 2 roku życia śmiertelność znacznie się zmniejsza, później wogóle nie występuje aż do wieku dojrzewania. Zarażenie po 2 roku życia jest mniej niebezpieczne, gdyż choroba przybiera wówczas zwykle formę chroniczną.

Pierwsze szczepienia ochronne, uskuteczniane trzykrotnie dawkami po 2mg., zmniejszyły śmiertelność wśród niemowląt do 5%, u dzieci 1 — 2-letnich do 1%, u dzieci starszych wypadków śmiertelnych z powodu przypuszczalnej gruźlicy wogóle nie notowano. Ponieważ okres działania szczepionki u niemowląt trwa do 5 lat, więc są one uodpornione na najniebezpieczniejszy okres. Dr. Calmette doradza powtórne szczepienie dzieci rodziców chorych po 1 roku i trzecie po 3 roku życia.

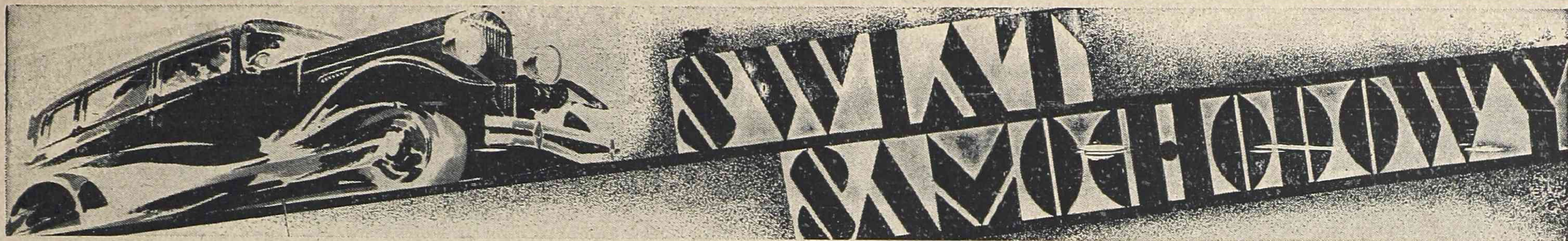
Dokonywane już od kilku lat na większą skalę szczepienia we Francji dały i dają w dalszym ciągu doskonałe rezultaty i bardzo poważnie przyczyniają się do zmniejszenia śmiertelności z powodu gruźlicy oraz zmniejszenia liczby wypadków chorobowych wogóle.

Jednakże szczepionka „B. C. G.", jako zbiór żywych prątków, nie daje się przechowywać dłużej, niż kilkanaście dni, poczem trzeba hodować nowe kultury. Rozsyła ją instytut Pasteura tylko lekarzom w postaci trzech małych ampułek, zawierających dawki po 10 cg. Powinny one być dawane niemowlętom z mlekiem o temperaturze ciała ludzkiego na pół godziny przed karmieniem w odstępach 2-u dniowych, poczynając możliwie niewcześniej po urodzeniu. Dzieci, znajdujące się w otoczeniu osób chorych na gruźlicę, powinny być na przeciąg dni 20 usunięte z tego środowiska.

St. I.



KULTURA BAKCYLU „B. C. G." NA PŁYNNEJ SPOŻYWCE



PRÓBNA JAZDA

Pan Szymon skończył właśnie suty obiad. Dzwonek telefonu poderwał go od stołu.

— Hallo, czy pan dyrektor X?

— Przy aparacie...

— Pan dyrektor nosi się z zamiarem kupna samochodu, jestem właśnie przedstawicielem wozów...

— Przepraszam, o tym moim zamiarze dowiaduję się z ust pańskich. Dziękuję za nowinę. Gdy będzie pan posiadał znowu jakieś świeże wiadomości o moich projektach, proszę do mnie zadzwonić. Żegnam.

Załatwiwszy w ten sposób agenta, pan Szymon udał się do gabinetu, by uciąć poobiednią drzemkę.

Ze snu zbudziła go służąca, meldując przybycie jakiegoś interesanta. Pan Szymon wypoczęty bardzo chętnie przygotował się na spotkanie gościa.

Dżentelmen ten, nie zdążywszy jeszcze zająć miejsca, wyjął z teki plikę katalogów, założył niemi biurko dyrektora, poczem w dłuższem przemówieniu, nie dając dojść do słowa panu Szymonowi uświadomił go o wszelkich zaletach reprezentowanych przez niego samochodów.

Pan Szymon wszystkiego wysłuchał, dowiedział się o chłodzeniu oliwy, o resorach na łożyskach kulkowych, o nowych nazwach modeli jak Prezydent, Admirał, Komandor, dziwił się dlaczego niema Marszałka, uwierzył nawet, bo nie mógł inaczej postąpić (dżentelmen był tak wytworny), że samochód ten spala 4 litry benzyny na 100 km. Jedną tylko rzecz chciał wyjaśnić, skąd firmy samochodowe wpadły na pomysł, iż on, właśnie on, chce nabyć samochód.

— My wszystko wiemy, wszystko widzimy, wszystko znamy, — odparł z tajemniczym uśmiechem dżentelmen.

— Więc Sz. Pan nie przewiduje nabycia wozu w najbliższej przyszłości... W każdym bądź razie zostawię Sz. Panu swój bilet z telefonami. Na każde życzenie służymy wozem firmowym dla odbycia jakiejś większej próbnej jazdy celem wykazania zalet wozu.

W przeciągu dwu dni był pan Szymon jeszcze sześć razy nagabywany telefonicznie, lub osobiście przez sprzedawców w sprawie kupna wozu. Każda rozmówka kończyła się propozycją odbycia jazdy próbnej w okolice Warszawy.

Jakby na dowód równouprawnienia kobiet, zjawiła się nawet jako sprzedawca wytworna dama, która zajechała przed biuro wozem firmowym.

Swą wytworną sylwetką i wdzięcznym uśmiechem przekonała p. Szymona o tyle, że udał się z nią by obejrzeć dokładnie wóz.

— Oto model zaopatrzony w najnowocześniejsze udogodnienia. O silniku nie mówię...

— Bo nie wiele wie, — pomyślał sobie p. Szymon.

— ... nie mówię... bo jest to ostatnie słowo techniki. Ale pomocnicze urządzenia fenomenalne: lusterko przed kierowcą, zapewniające mu widok na wszystko co się wewnątrz wozu dzieje; zderzaki przednie i tylne, tak sprężyste, iż w razie zderzenia, wóz odbija się kilkanaście metrów, by podjąć jazdę dalej; zapasowy zbiorniczek na benzynę przy silniku, t.zw. mamka po szofersku, objętość jego ratuje kierowcę w wypadku wyczerpania się zapasu benzyny w głównym baku.

Pan Szymon ujęty temi „fachowemi“ objaśnieniami obiecał, iż bezwzględnie weźmie pod uwagę przy nabyciu wozu firmę reprezentowaną przez tak dzielną pracowniczkę.

Wracając z biura spotkał swego znajomego, który powitał go słowami.

— No cóż stary, wybrałeś sobie już samochód?

Pan Szymon tym razem przedzierzgnął się w Machiavela i odpowiedział pytaniem.

— Ale skąd wiesz, że ja nabywam samochód?

Bomba pękła.

— No mój, Szymonku, starzejesz się, to ty nic nie pamiętasz jak we wtorek u Ritza siedzieliśmy i oświadczyłeś, że zdecydowałeś się nabyć samochód na przekór właśnie kiepskiej konjunkturze.

Teraz cała sprawność służby informacyjnej przedstawicielstw samochodowych stała się dla p. Szymona jasną.

Obliczył sobie: siedział w towarzystwie 4 panów, jeśli każdy zawiadomił tylko 3 przedstawicielstwa, to winien spodziewać się jeszcze 5 wizyt sprzedawców.

Pan Szymon nie miał pretensji, że znajomi chcieli wykorzystać okazję i zarobić niewielką prowizyjkę.

Przykład jednak jest zaraźliwy. Pomysłowość przyjaciół udzieliła się i p. Szymonowi.

— Hallo 303-33

. . . . . .

— Czy to firma Y?... Mówi dyrektor X. Proszę o przysłanie w niedzielę rano wozu celem odbycia próbnej jazdy.

. . . . . .

— Wszystko jedno może być cabriolet, tylko ... ja zamierzam przejechać conajmniej 100 klm.

. . . . . .

— No to świetnie, widzę, że Panowie podzielają moje zdanie, że przed kupnem należy wóz dokładnie wypróbować.

. . . . . .

— W jakim kierunku, no... powiedzmy do Puław naprzykład.

. . . . . .

— Tak, w niedzielę, rano o 9-ej. Dowidzenia

Podobnie brzmiały telefony do innych firm, z tą małą różnicą, iż za każdym razem inna miejscowość była celem wycieczki.

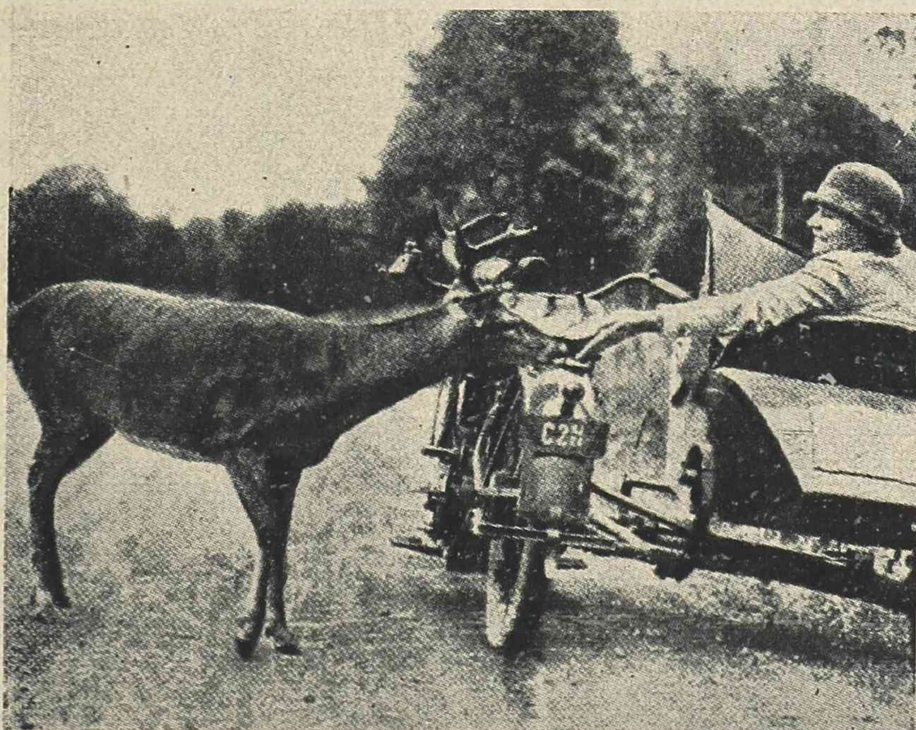
W przeciągu dwuch wiosennych miesięcy zwiedził p. Szymon całą okolicę Warszawy w obrębie 70 klm. nauczył się już prawie prowadzić samochód, poznał wszystkie marki, wypraktykował naprawianie gum, słowem stał się już półkierowcą.

* * *

Obecnie, jak mnie powiadomił, zamierza urządzić jeszcze jedną „próbną jazdę“ ... na wystawę do Poznania.

Obawiam się, czy zdąży.

St. Czernielewski



PRZYJAŹŃ...

CZY WIECIE ŻE...

...w wyścigu Tatrzańskim należącym do mistrzostwa górskiego Europy, postanowiono wprowadzić nagrody pieniężne na ogólną sumę około 20.000 złotych...

...1-sze miejsce w 24-o godz. wyścigu wytrzymałości w Mans „Coupe Rudge-Whitworth“ zajęła para Barnato - Kidston na sam. Bentley, 6,5 ltr., pokrywając 2930 km. z szybkością średnią 122 km., 2-gie miejsce również Bentley...

...w rozwoju komunikacji autobusowej Polska prześcignęła wszystkie kraje. Ilość autobusów u nas wzrosła od 1.I.29 r. do 1.I.30 r. o 35%, podczas gdy w St. Zjedn. Ameryki Północnej w tym samym okresie o 6%...

...w mieście Wellington w Ameryce, ruchem ulicznym kieruje nie policjant lecz mechaniczny człowiek „Robot“...

...każdy turysta automobilista podróżując w Niemczech, może w całym szeregu miast, za niewielką opłatą otrzymać doświadczonego kierowcę, który jednocześnie jest przewodnikiem...

...w Ameryce zbudowano najmniejszy wóz osobowy „Dart“ o ciężarze 270 kg. w cenie 200 $ z gwarancją na 40.000 km. jazdy, największa szybkość 100 km/godz. przy zużyciu 5 ltr. benzyny na 100 km....

MIĘDZYNARODOWY RAID AWIONETEK



Kpt. Płonczyński, pierwszy z ekipy polskiej, ukończył Międzynarodowy Raid awionetek bez punktów karnych

Szlakiem Dziesiątej Muzy

(„Zapomnisz o mnie". — „Taniec śród serc". — „Karuzela życia". — Nowe filmy krajowe).

Mimo letniej posuchy od czasu do czasu ukazują się na ekranach stolicy obrazy, zasługujące na uznanie i pozostawiające po sobie trwalszą pamięć. Do takich filmów należy przedewszystkiem wyświetlany w kinoteatrze „Splendid" film Jamesa Cruze'a, twórcy „Karawany" — „Zapomnisz o mnie" oparty na powieści amerykańskiej, z której wykrojono bardzo ładny, pełen uczucia scenarjusz. Główne role w tym zajmującym filmie z życia cyrkowo - filmowego grają pełne wdzięku Józefina Dunn, Wiliam Haines i Ricardo Cortez oraz cały szerek aktorów, doskonale odtwarzających epizody. Z powodzi ostatnio wyświetlanych obrazów film Cruze'a wyróżnia się zręcznem ujęciem tematu, żywą akcją, urokiem, tchnącym z sentymentalnych scen pomiędzy prześliczną Józefiną Dunn a Hainesem.

Filmem doskonałym, przypominającym niedawno wyświetlany obraz „Kobiety nie do małżeństwa" i będącym jakgdyby nową wersją filmową tego ciekawego tematu jest wyświetlany przez kinoteatr „Casino" (nawiasem mówiąc doskonale prowadzony przez dyr. Solińskiego) obraz „Taniec śród serc". Nawet bohaterki obrazu są te same, co w „Kobiecie nie do małżeństwa" — urocza Anita Page i pełna przedziwnego wdzięku Joanna Crawford, której uroda ma swoje blaski i swoje zachmurzenia, tak, że Joanna Crawford chwilami jest czarująco piękna, a chwilami wprost nieładna. Ale piękna, czy brzydka posiada ona jeden niezaprzeczony atut: niepospolity urok, którym tchnie jej postać — no i kapitalny talent aktorski. Jest to dziś jedna z najświetniejszych aktorek komedjowych w filmie i mało ma sobie równych. Partnerami dwóch uroczych aktorek w tym obrazie są: młody Douglas Fairbanks, doskonale naśladujący ojca swego i dobrze parodjujący kilku bohaterów filmowych — bardzo obiecująca siła, niewątpliwy talent aktorski — i zawsze ujmujący, przemiły Rod-la-Rocque który może nie ma tu zbyt wielkiego pola do popisu, ale to, co robi, robi z maestrją i z cechującym go wdziękiem. Akcja żywa, doskonale postawione figury, temat bardzo interesujący, świetna reżyserja i wyborne zdjęcia wysuwają ten film na czoło produkcji dźwiękowej ostatnich miesięcy.

W „Światowidzie" fenomenalnem powodzeniem cieszy się wyświetlany od 15 tygodni film z Ramonem Novarro „Poganin". Wartoby się zastanowić nad przyczynami powodzenia tego bezsprzecznie pięknego filmu, który jednak nie jest zgoła arcydziełem. Czy to urok postaci Ramona Novarro, jego niemęskiej może, ale istotnej urody — wywiera taki wpływ? Bo jeśli chodzi o piękne egzotyczne tło — to były już obrazy o wiele ciekawsze, jak np. podobne do „Poganina" — „Białe cienie". Najwidoczniej Ramon Novarro objął berło po Rudolfie Valentino i stał się ulubieńcem mas.

Nie zwracając uwagi na kiepskie konjunktury i upały letnie wyskoczył „Pan" z premjerą filmu krajowego. — Jest to obraz osnuty na tle powieści p. Ireny Zarzyckiej p. t. „Karuzela życia" zrealizowany przez pp. Micińskiego i Witkiewicza. Scenarjusz roi się od nieprawdopodobieństw, nonsensów, i on to głównie przyczynia się do niepowodzenia artystycznego filmu, który mógłby wypaść o wiele lepiej. Pp.Cort i Norska grają przeciętnie, pierwszy — nieco anemicznie, choć usiłuje wykrzesać z gry trochę życia. Niezłym materjałem wydaje mi się odtwórca roli Blacka. Niektóre fragmenty filmu świadczą o pewnych zdolnościach reżysera i operatora. zdolnościach, które w innych warunkach i pod dobrym kierunkiem mogłyby się rozwinąć. Obraz może mieć powodzenie na prowincji.



P. KRYSTYNA DULLANKA, MŁODA, WIELCE OBIECUJĄCA ARTYSTKA, PO UKOŃCZENIU KURSÓW P. HRYNIEWIECKIEJ ZAANGAŻOWANA DO TEATRU ATENEUM, WYSTĄPI NIEBAWEM W JEDNYM Z FILMÓW KRAJOWYCH

Z nowych obrazów, które mają ukazać się w tym sezonie, należy zanotować: „Janka muzykanta" (podług noweli Henryka Sienkiewicza, reżyseruje Wytw. „Blok" z pp. Krawiczem i Szebeką). „Niebezpieczny romans" z Betty Aman i Bogusławem Samborskim — realizacja wytw. „As" (kier. prod. Józef Rosen, reżyser Waszyński Michał) — wersję filmową „Fortuny kasjera Śpiewankiewicza" A. Struga — dalej film o nieustalonym tytule reżysera Juljusza Gardana oraz film Henryka Szary — „Na Sybir" — scenarjusz Wacława Sieroszewskiego.

Tadeusz Kończyc

NOWA PRÓBA POBICIA ATLANTYKU PODEJMOWANA TYM RAZEM PRZEZ KOBIETĘ



Miss Laura Ingalls. Znana amerykańska rekordzistka w loopingach, po pobiciu ostatnio rekordu światowego, w którem osiągnęła wspaniałe rezultaty (4½ loopingu na minutę), ukończyła przygotowania do lotu transatlantyckiego do Europy i oczekuje tylko już na pomyślne zmiany atmosferyczne

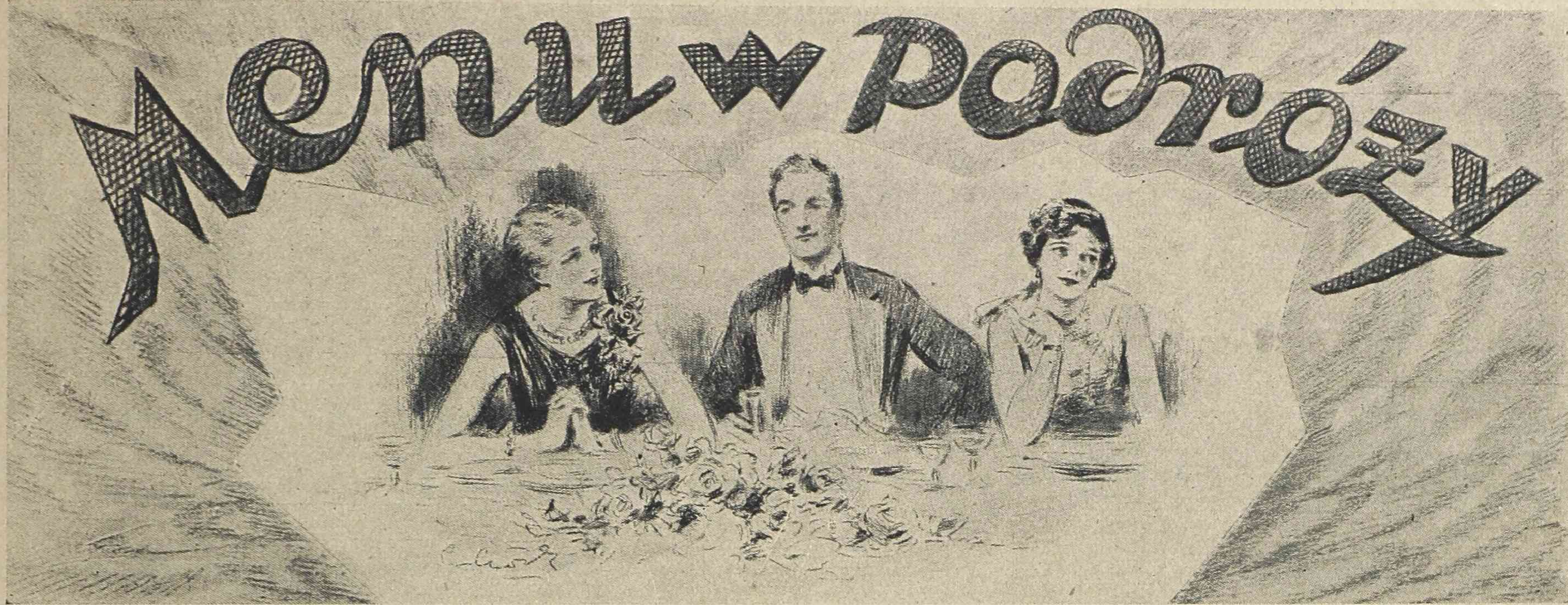
P R A S A

Wyszedł z druku pierwszy numer organu Polskiego Związku Wydawców p. t. „Prasa".

Czasopismo to poświęcone sprawom wydawniczo - prasowym zawiera szereg cennych i ciekawych artykułów: Red. St. Krzywoszewskiego p. t. „Na progu naszej pracy", F. Głowińskiego „O jednolitą organizację prasy"", W. Trzebińskiego „Nauka o dziennikarstwie", J. Szapiry „Trusty prasowe".

Numer uzupełnia sprawozdanie z działalności Związku Wydawców, Kronika krajowa i zagraniczna i Przegląd piśmiennictwa.

„Prasę" redaguje St. Kauzik.



(to, co najważniejsze)

Wywczasy letnie, urlopy wypoczynkowe, słomiane wdowieństwo — wszystko to posiada niewątpliwy urok, któremu daje się na imię: zmiana wrażeń, oderwanie od trosk codziennych, łono natury, powiew szerokiego świata, wreszcie magiczne słowo — swoboda! Lecz czemu nikt nie odważy się przyznać, że prócz tych rozkoszy, rozłożonych na letnie miesiące, istnieje jeszcze jedna: zmiana kuchni?

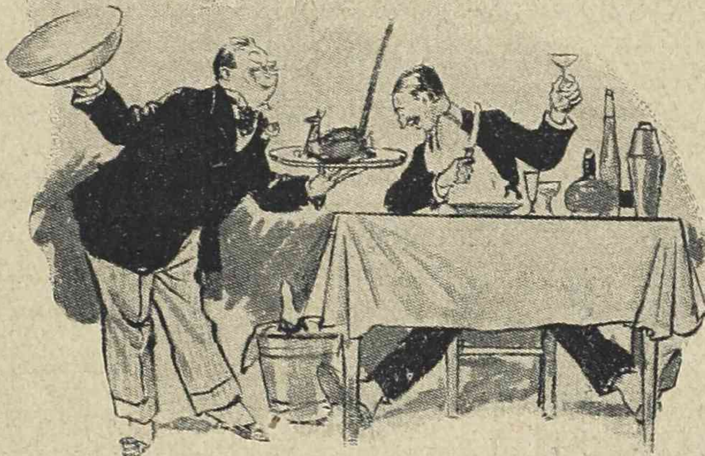
Uderz się w piersi wielbicielu słonecznych plaż, górskich potoków, świątyń gotyckich i gondoli, palace'ów, egzotycznych flirtów i kasyn, a napewno jakiś głos z pod piersi zawoła, że nietylko serce, ale i żołądek ma prawo do zmiany wrażeń, że mu się przejadły kurczęta po polsku i ryby po żydowsku... i że tam pod modrem niebem Lida istnieją najlepsze pulardy, a czem byłyby burzliwe fale Ostendy, bez langustów?

Przecież w twojej „drugiej ojczyźnie" — Francji przyznają już oddawna znaczne przywileje żołądkowi. Istnieją w Paryżu kluby żarłoków, smakoszów, amatorów - gastronomów, delikatnego podniebienia. Organizatorami, prezesami, szłonkami zarządu tych klubów są najwybitniejsze jednostki: literaci, politycy, przemysłowcy. Niedawno zarejestrowano nowy klub LES BELLES PERDRIX, klub literatek wielbiących smaczne kąski, klub pod wezwaniem:

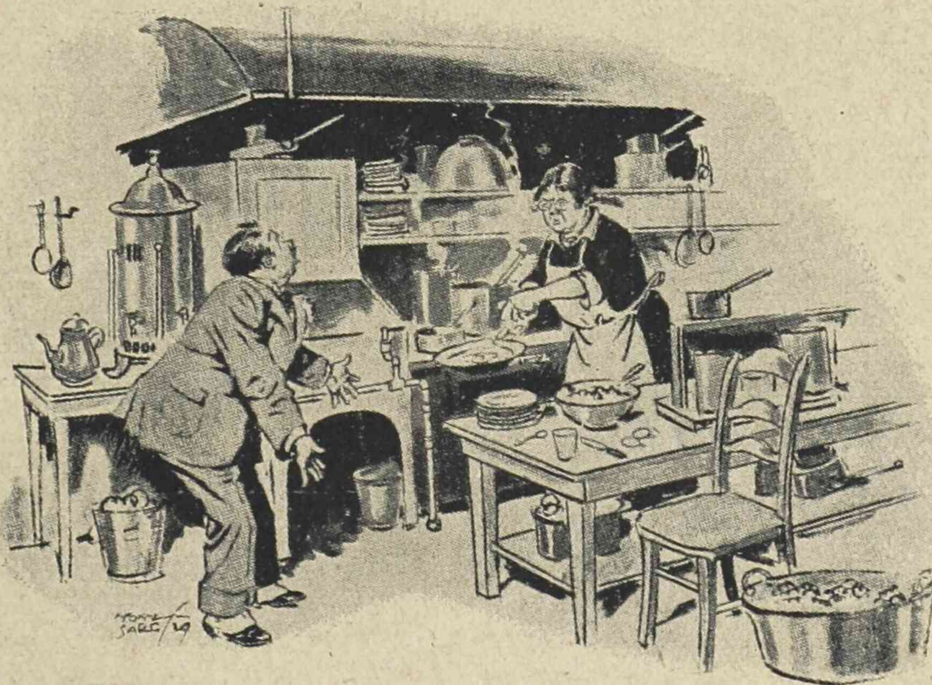
BÓG STWORZYŁ KOBIETĘ, AŻEBY ZAJMOWAŁA SIĘ KUCHNIĄ.

Ta propaganda nie dotarła do nas. O doniosłej roli kobiety karmicielki przebąkują nieśmiało mężowie przy zmianie kucharki — i na tem koniec. Dlatego być może polski żołądek, tęskni bardziej od innych, do menu wypoczynkowego.

Niektórym najlepiej smakuje najgorsze jedzenie w podróży, tylko dlatego, że kuchnia niedomowa. On (żołądek) jest znudzony monotonją: w poniedziałek botwinka i sznycle, we wtorek rosół i roso-



łowe mięso, w środę pomidorowa i pieczeń cielęca, w czwartek flaki, w piątek karp i zupa nic, w sobotę barszcz i siekanina, w niedzielę zupa jarzynowa i kura lub gęś, ewentualnie indyczka — i tak przez okrągły rok bez niespodzianek!



Można oszaleć nawet przy najsmaczniejszej kuchni.

Innym znów żadne jedzenie w podróży nie smakuje, bo kuchnia niedomowa.

Niektóre żołądki posiadają kompleksy sztuki mięsa lub sznycla. Spotyka się ludzi, którzy w Krynicy i na Florydzie, w Londynie i Bombaju żądać będą niezmiennie w restauracji, tego samego dania ... ale jak bardzo ta metoda przyczynia się do poznania ducha narodowego danych krajów. W Krynicy sztuka mięsa jest żylasta, na Florydzie — gorąca, w Londynie — surowa, w Bombaju przesolona.

Ludzie o żołądkach wytwornych lubią dania o mile brzmiących nazwach: vol-au-vent à la financière, souflé Manon, fonds d'artichants oxtail, suprème de volaille, pèches à la Condé, carpe á la Chambord, ale czy treść odpowiada zawsze formie, czy żołądek domowego chowu, nie jest narażony na cały szereg rozczarowań i czy w tym chaosie nie zawoła w Biarritz — ja chcę bigosu!

Żołądki ascetyczne dręczą się Marienbadem, Vichy, Aix - les- Bains — Karlsbadem.

Żołądki fatalistyczne wskazują na menu VII, XIV, XXI potrawę. Wybierają na los szczęścia i niezawsze są w stanie zjeść, to co im los przyniósł.

Egzotyczna miłość i egzotyczna kuchnia, nikomu nie wyszła na zdrowie.

Kobiety poza domem lubią tylko hors d'oeuvre'y i desery. Zakąski, sałatki, majonezy są prawdziwym hazardem, wycieczką w niepewne i nieznane, a deser jest zawsze deserem... To co jest między hors d'oeuvre'ami i deserem przeznacza się dla mężczyzn. Nie dzieje się im krzywda.

H. Jel.

Administracja Tygodnika Ilustrowanego „Świat" podaje do wiadomości iż p. Emil Sulikowski nie jest upoważniony do zbierania ogłoszeń dla tyg. „Świat" ani do inkasowania zaliczek na rachunek tych ogłoszeń. Pan Sulikowski posługuje się legitymacją „Świata", która utraciła swą moc z dn. 31.XII.1929 r.

Firmy, do których zwraca się p. Sulikowski, proszone są o porozumienie z Administracją tygodnika „Świat" Warszawa, ul. Szpitalna 12.



HUMOR ZAGRANICZNY

W jednym przedziale jadą: zakonnik i dwa podlotki, prowadzące bardzo ożywioną i dość swobodną rozmowę, która zeszła wreszcie na temat sposobów grzebania umarłych. Jedna z rozmawiających oświadcza, że chciałaby, aby jej ciało po śmierci, zamiast ziemi, oddane zostało „czystym płomieniom" i zwraca się obcesowo do zakonnika z zapytaniem:

— Nieprawda-ż, ojcze, że ja mam rację?

— Najzupełniej, — odpowiedział zakonnik. — Sądzę, że djabłu musi być milsza gęś pieczona...

(A. B. C., Madryt).

*

FACHOWE OKREŚLENIE

Kucharz, przyglądając się swemu nowonarodzonemu dziecku:

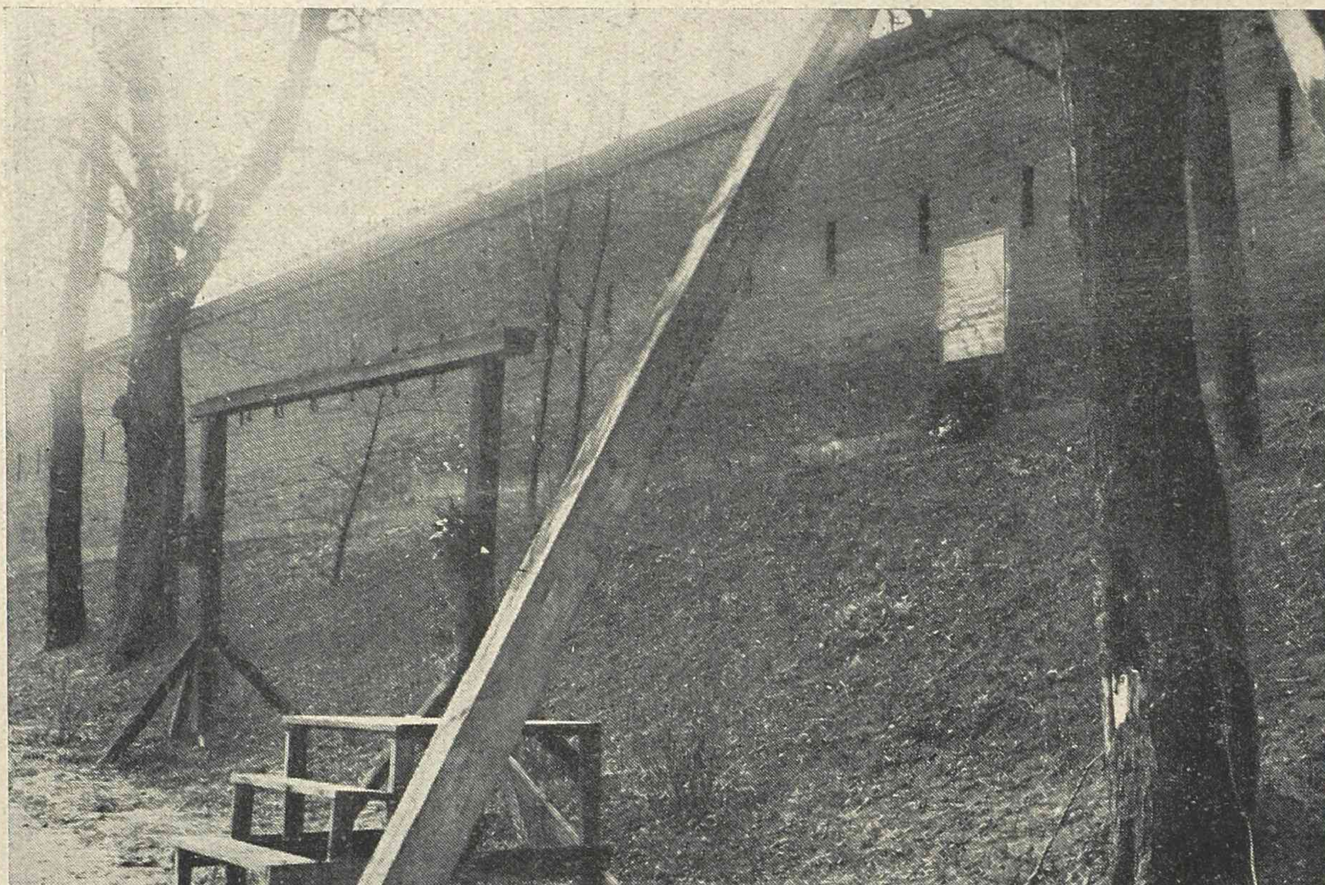
— Mój Boże, jakie to malusieńkie, z tego nawet czterech porcyj by nie było.

(College Humor).

Nie wolno mówić, że cukier jest rzeczą kosztowną

Nawet przy cenach obecnych, cukier jest jednym z najtańszych artykułów spożywczych. Kosztuje on w stolicy i większych miastach o połowę taniej, niż mięso z kośćmi, na prowincji, gdzie ten stosunek dla cukru jest mniej korzystny, dwie trzecie ceny mięsa. Wieś nasza, lud pracujący, robotnik fabryczny również ciężko pracujący i również niezamożny inteligent powinni zrozumieć pierwszorzędne znaczenie cukru i owoców dla zdrowia i sił ich własnych, ich rodzin i spożywać jaknajwiększą ich ilość. Rozwiązanie tego zadania, jak rozwiązanie wielu innych zadań budżetowych leży w ręku gospodyni domu.

P. El.



Cytadela — miejsce kaźni męczenników walk o niepodległość Polski. Na pierwszym planie drzewo podziurawione kulami, pod którem rozstrzeliwano skazańców — więźniów politycznych. Nieco dalej szubienica, na której dokonywano masowo mordów politycznych. W miejscu tem zginął śmiercią bohaterską Okrzeja

Fot. Foto-Plat

...Oczywiście i wczesną wiosną jeździło się tam od czasu do czasu. Przyjemnie było także posiedzieć chwilę na tarasie w porze obiadowej. Ale prawdziwie przyjemny jest powrót do miejsca, z którem wiąże nas wiele mile spędzonych godzin, w pierwszy słoneczny ciepły dzień wiosenny, jaki można przebyć na łonie natury. Ach! wieleż tam jeszcze dokupić. Może kilka firanek, barwnych poduszek, obicie na szezlong, kolorowe serwety — a zresztą, czyż można wszystko przewidzieć. W każdym razie zachowajcie w pamięci, że barwne przedmioty z lnu, bawełny, bądź też sztucznego jedwabiu, które narażone są na działanie promieni słonecznych, a częstokroć i deszczu, muszą być farbowane barwnikami indanthrenowemi. W przeciwnym razie przedmioty te płowieją, ścierają się i tracą kolor po praniu, jeszcze przed rozpoczęciem lata.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16, Centrala Gazet L. Robowska. **CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 5.50 zł., na prowincji miesięcz. 6 — zł. kwartalnie 18.— zł. Zagranicą miesięcznie 8.— zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski*

Druk. Galewski i Dau, Warszawa